60 groszy

Tygodnik Polski

№ 46
25. XII. 27



25 grudnia 1927 r.

Tygodnik Polski

UKAZUJE SIĘ CO TYDZIEŃ I DOŁĄCZANY JEST BEZPŁATNIE PRENUMERATOROM I ODBIORCOM „RZECZPOSPOLITEJ"

DLA PRENUMERATORÓW CO TYDZIEŃ NAGRODY ZA ROZWIĄZANIE ZADAŃ

ROK I. WARSZAWA—KRAKÓW—LWÓW—POZNAŃ—WILNO—ŁÓDŹ—GDAŃSK Nr. 6/46.

Kartki z raptularza

Od Wydawnictwa

Wszystkim Czytelnikom i Prenumeratorom naszym zasyłamy dziś serdeczne życzenia

Wesołych Świąt

Oby gwiazda Betleemska, która błyśnie nad ziemią naszą i skupi przy wieczerzy wigilijnej rodziny polskie, przyniosła im szczęście i radość ducha, a Chrystus narodzony pobłogosławił znojną pracę i trudy na pożytek własny oraz na dobro i chwałę Najjaśniejszej Rzeczypospolitej.

Redakcja

24.XII.1927 r.

BOŻE NARODZENIE

Dzień wigilijny... Choinka... Ileż to wspomnień z lat minionego dzieciństwa, radosnych chwil otrzymanych podarków, śpiewania kolend?

A później lata młodzieńcze, lata wielkiej wojny światowej, gdzie brat godził w pierś brata, jedni sercem a różni mundurem. Ileż znowu wspomnień i łez smutku po tych, którzy już wieczerzali u Tronu Boskiego albo siedzieli w okopach.

A choć ból pierś rozsadzał, rozpacz chwytała za gardło, weseliło się oblicze, jaśniały oczy, wpatrzone w jasną gwiazdę, świecącą na niebieskim firmamencie, gdyż zdawało się, że jakaś tajemna moc szepce:

„Ufaj synu, bo z krwi, dla cię najdroższej zrodzi się wolna Polska. Oto patrzcie, skruszyły się wraże trony, skorupą zapomnienia pokryli się korony monarchów, ale z pyłu i oparów krwi powstała wolna Ojczyzna nasza".

Przeszło nad światem wiele burz, świat zmienił szatę, a my w wolnej Ojczyźnie obchodzimy dziesiątą rocznicę narodzin Pana nad Pany.

Niechaj więc zamilkną swary, radujmy się! Radujmy się, słuchając anielskich głosów, śpiewających „Gloria in Excelsis Deo". Radujmy się, że dzisiaj przed płonącą choinką staje nowe pokolenie, zrodzone w wolnej Polsce, radujmy się, że do wolności Jej myśmy się przyczynili, a wielu życie swe dla Niej dało.

Tak jak przed wielu laty z radosnem obliczem staliśmy przed zielonem drzewkiem ciesząc się z podarków, tak dzisiaj stają nasze dzieci.

O gwiazdo Pana, która świeciłaś nad stajenkę Betleemską i przywiodłaś pastuszków i królów dalekiej krainy, świeć naszym dzieciom w drodze życia.

Z mojej karjery... Wywiad XLI

Zofja Casanova-Lutosławska

Poetka i powieściopisarka hiszpańska, pani Zofja Casanova - Lutosławska przybyła w tych dniach do Polski, gdzie zamierza spędzić dłuższy okres czasu.

Podejmowana uroczyście przez Pen - Club, autorka tłómaczonej na język polski powieści „Doktór Wolski", świetnie zna Polskę i Polaków.

Wierna tradycjom hiszpańskim podróżuje z przenośnym ołtarzykiem saragosskiej Madonny Del Pilar, który zawiesiła w pokoju, urządzonym w stylu hiszpańskim i ozdobionym obrazami mistrzów półwyspu Pirenejskiego, Goy'i i Velasqueza.

Przyjaciółka monarchów i monarchiń hiszpańskich, popularna ta poetka, podejmowaną była na dworze madryckim z honorami, jakie tylko rycerscy Hiszpanie oddać potrafią wielkiej poetce.

Dowiedział się dwór o jej poezjach, gdy miała lat dwadzieścia i wtedy nastąpiła jej prezentacja „à la cour".

Wspomnienie ciekawego epizodu ze swego życia, które nam opowiedziała poetka dotyczy właśnie obyczajów dworu monarszego.

— Jedno z literackich towarzystw w Madrycie rozpisało w swoim czasie konkurs na poemat pod tytułem „El Trabajo" (Praca). Małą byłam wówczas dziewczynką. Poemat, który napisałam nie tyle podyktowała mi głowa, ile serce. Stworzyłam kilkanaście strof, które odczytałam mym znajomym. Młodociana ta poezja spodobała im się bardzo, więc słuch o tym utworze szybko rozszedł się wśród innych znajomych, którzy zkolei donieśli o nim literatom, ogniskującym się przy lubiącym poezje królu.

Wieść do króla o moim utworze dotarła.

Zawezwał mnie na dwór i tam przyjął osobiście bez świadków.

— Słyszałem, że napisała pani ładny poemat, o którym szeroko mówią w Madrycie — odezwał się Alfons XII, ojciec obecnie panującego monarchy — proszę mi zarecytować parę strof....



Zofja Casanova-Lutosławska utalentowana literatka.

Onieśmielona a zarazem uradowana, poczęłam deklamować poemat. Podobał się widocznie królowi, gdyż skoro tylko ukończyłam deklamację, odezwał się:

— Niechże pani będzie tak grzeczna i powtórzy raz jeszcze.

Oczywista, iż prośba króla, była dla mnie rozkazem, więc znowu zaczęłam deklamować, gdy wtem.... z brzękiem ostróg i pałasza wszedł „el Grande Guardie" — pierwszy adjutant Jego Królewskiej Mości i zameldował:

— Wasza Królewska Mość. Jego Excelencja, premjer.

Król, nie przestając mnie słuchać, odpowiedział adjutantowi:

— Dobrze, niech zaczeka...

„El guardie" skłonił się i wyszedł.

Skończyłam deklamację, lecz król Alfons XII polecił jeszcze raz powtórzyć.

Mówiłam wiersze, a obok, w sali recepcyjnej czekał (czy cierpliwie?) pierwszy w państwie mąż po królu, prezydent ministrów, Canovas del Castillo.

Znów wszedł adjutant.

— Zaraz idę — odezwał się król i dopiero, gdy skończyłam, pożegnał się ze mną i poszedł załatwić z pierwszym ministrem sprawy państwowe.

To jest dowodem tradycji królewskiego pałacu madryckiego. Dowodzi to poczucia piękna, na które wrażliwi są jego mieszkańcy, oddając hołd moim poetyckim poczynaniom.

— Jakiem jeszcze innem wspomnieniem mogłaby się pani z nami podzielić?

— Czemu nie. Oto moment, naprzykład, który zawdzięczam mojej popularności w Hiszpanji.

Więźniowie wysłali do mnie adres, bym się wstawiła u dworu o amnestję.

Było to w roku 1918, prawie natychmiast po zawieszeniu broni. Zgodziłam się to uczynić i w następstwie napisałam artykuł w wychodzącym w Madrycie piśmie „A. B. C.", domagając się amnestji.

Premjerem wówczas był Maura. Amnestja została wyjednana u króla. Jestem głęboko przekonana, że i bez mojej interwencji amnestja również byłoby ogłoszona.

To samo nastąpiło po raz wtóry w niedawnym czasie.

Znów dostałam adres więźniów z tą samą prośbą.

Sprawiło mi to wielką przyjemność, że ci odcięci od świata ludzie pamiętają o mnie i do tego stopnia wierzą we mnie.

— Czy można wiedzieć, co panią właściwie skłoniło do pisania?

— Sentyment, uczucie, które po hiszpańsku zwiemy, „morrinia" — tęsknota. Za czem?... myśl goni za czemś nieograniczonem... dalekiem...

M. G.

Obyczaje świąteczne



Dzień Narodzin Chrystusa Pana obchodzony jest na całym świecie bardzo uroczyście. Jest to jednocześnie dzień Godów, czyli zakończenie starego i rozpoczęcie nowego roku, w wiekach średnich bowiem Nowy Rok rozpoczynał się w dn. 24 grudnia, stąd nazwa Gody, od starosłowiańskiego słowa „God", oznaczającego rok.

Gallowie nazwali to święto wyrazem „Noel", pochodzącym jak jedni twierdzą, od „natalis", a według innej wersji od „novus" (dzień urodzin lub nowy). Najprawdopodobniej jednak, wyraz ten jest pochodzenia bretońskiego i był okrzykiem radości.

W Polsce to wielkie święto narodzin Pańskich połączone jest z całym szeregiem obchodów, które sięgają zamierzchłych wieków, a niektóre z nich nawet czasów przedchrześcijańskich

Jednym z tych obchodów, złączonych ściśle z uroczystościami Narodzin Pańskich jest „Gwiazdka", obchodzona na pamiątkę gwiazdy betleemskiej, która ukazała się nad ubogą stajenką, gdzie narodził się Zbawiciel.

W Krakowskiem po wsiach i miasteczkach chłopcy obnoszą od Trzech Króli począwszy do Oczyszczenia N. P. Marji na długim kiju gwiazdę dużą z kolorowego papieru, napuszczonego dla większej przejrzystości tłuszczem i oświeconą ztyłu kilkoma świeczkami. Wszedłszy do mieszkania, zaczynają kręcić tę gwiazdę, śpiewając pieśni o Narodzeniu Chrystusa, czyli t. zw. Kolendy, za co otrzymują dary.

W zachodniej części Województwa Poznańskiego chodzi od domu do domu t. zw. „Gwiazdor", przebrany, z rózgą i gwiazdą. Postrach to dla dzieci, wypytuje ich bowiem czy są grzeczne, czy umieją pacierz. W południowej zaś części Województwa chodzi stary Józef. Jednego i drugiego przedstawiają młodzi ludzie, przebrani za starców z torbą, rózgą i dzwonkiem. W innych stronach kraju dorośleisi chłopcy, przebrawszy jednego ze swego grona na niedźwiedzia, tura, kozę lub żórawia (!), chodzą od domu do domu, śpiewając kolendy.

O ciekawym zwyczaju, który w niektórych miejscowościach Francji przetrwał aż poza XV wiek, znajdujemy ślad w archiwach katedralnych w Sens.

Jest to pochód osła, bachiczne igrzysko podobne do rzymskich Saturnali. Zażarcie zwalczały ten obrządek wyższe władze kościelne. Składało się na to masę drastycznych obyczajów wigilijnych we w końcu surową bullę papieża Inocentego III-go.

Jednym z najbardziej tradycyjnych obyczajów religijnych we Francji, którego u nas w Polsce nie znaliśmy nigdy, jest palenie na kominku kłody wigilijnej (la bûche de Noel), pochodzącej z kasztana lub drzewa oliwkowego, jako najwłaściwszych dla utrzymania ciepła przez całe 4 dni.

Obyczaj ten pochodzi, jak przypuszczają, od starodawnego przepisu pogańskiego, przygotowania raz



Tradycyjna choinka zdobi każdy dom w Polsce.

w ciągu roku zapasu popiołu na wypadek żałoby domowej.

Charakterystycznem jest, iż w południowej Francji, gdzie wino lub oliwa stanowią podstawowe bogactwo uprawy w ejskiej, kłodę polewa się starem winem lub oliwą, poczem najstarszy z rodu wespół z najmłodszym wstawiają drzewo do kominka.

W Burgundji wydrąża się w kłodzie schowek, celem ukrycia najróżniejszych łakoci. Po podobnem „nafaszerowaniu" tej kłody, otwór zamyka się drzewem, a dwoje dzieci, które z niecierpliwością oczekują tylko wezwania w drugiej izbie, wchodzą radośnie i walą kijami po kłodzie, aż zatyczka nie wyskoczy i nie wysypią się na zebranych łakocie.

Na Gody czyli na Nowy Rok podług staropolskiego zwyczaju ugadzano (godzono) także czeladź domową, był na to od wieków przeznaczony dzień Św. Szczepana, czyli drugi dzień Bożego Narodzenia, który według dawnej rachuby był początkiem Nowego Roku.

Zwyczaje noworocznych uroczystości rzymskich przeszły do wszystkich ludów w Europie. W Polsce, gdy nadeszły Gody, nie było końca najrozmaitszym zabawom, powinszowaniom, podarkom, przebieraniu się za Żydów, cyganów, niedźwiedzi, kozy, tury (późniejsze maskarady) chodzeniu po domach ze śpiewaniem kolęnd z żywym wilkiem, lub w braku z chłopcem, przybranym w wilczą skórę (późniejsze kuligi).

Od Bożego Narodzenia do Trzech Króli świętowano wieczory, które dotąd lud w wielu okolicach nazywa „świętemi wieczorami". W wieczory te śpiewano kolędy o Naro-

dzeniu Chrystusa Pana, będące niekiedy w swej naiwności i prostocie uczuć prawdziwemi klejnotami poezji ludowej. Chodzono z szopkami, czyli jasełkami, z „gwiazdą" i t. p. Dotychczas w wielu stronach młodzi parobcy, poprzebierani ze Heroda, jego hetmana, żołnierzy, śmierć, djabła, przedstawiają scenę z podań Pisma Świętego.

Najpopularniejsza z kolend „W żłobie leży, któż pobieży" zastosowana była i dotychczas śpiewana jest na nutę poloneza, grywanego na dworze królów naszych w XVII w.

Jasełka miała być wprowadzona przez Św. Franciszka Serafickiego († 1226 r.), który dla zachęcenia i ściągnięcia prostego ludu na nabożeństwo wprowadził je do kościoła. Potem zaś, z powodu nielicujących z powagą Domu Bożego swywoli, zaniechano urządzania ruchomych jasełek w kościele, poprzestając jedynie na żłobku, ale lud przyzwyczajony do nich urządza od tego czasu po domach t. zw. przenośne szopki, które do dziś dnia przetrwały, szczególnie po wsiach i małych miasteczkach.

Najuroczystszym jednak obchodem Święta Narodzin Pańskich jest uczta wigilijna czyli poprostu Wigilja.

Słowo wigilja pochodzi z łacińskiego, (vigilare — czuwać) oznacza czuwanie, ponieważ wierni zgromadzali się pierwotnie w kościołach w przeddzień świąt uroczystych i przepędzali tu część nocy na modlitwach, śpiewaniu psalmów i czytaniu Ksiąg świętych. Gdy wiele nadużyć wcisnęło się do tych schadzek nocnych, kościół je zniósł z wyjątkiem Wigilji czyli wilji Bożego Narodzenia, które wszędzie trwają. Nabożeństwo to nocne, zwane „pasterką" odbywa się m. g. 9-tą wiecz. a 1 po północy.



Kolendnicy skandynawscy podobnie jak u nas wędrują od domu do domu.

Wigilja Bożego Narodzenia, ma u nas ze wszystkich świąt cechę najbardziej rodzinną, domową, odpowiadającą zwyczajom i charakterowi naszego narodu.

W wielu domach, zwłaszcza na wsiach izba jadalna słomą, a stół sianem bywa zasłany, na pamiątkę stajenki betleemskiej.

W niektórych okolicach, jak np. w ziemi Bielskiej nad Narwią, po skończonej wilji gospodarz zbiera siano ze stołu i rozdziela je pomiędzy dobytek w stajni.

W Anglji święta Bożego Narodzenia — Christmas — uważane są za święta o charakterze narodowym. Na długo przedtem zapowiada je wymiana kart, na których wyrażane są życzenie doroczne. O nikim starają się nie zapomnieć, listę sporządzając wszystkich znajomych, przygodnie nawet zapoznanych, podczas podróży po całym świecie.

Nad drzwiami domów zawieszają bukiety z zieleni i w każdej rodzinie szykują pantagrueliczne uczty, w których „clou" zainteresowania stanowi tradycyjny plum-pudding.

W święta te króluje powszechne obżarstwo, którego nawet przewidują skutki, zawczasu zaopatrując się w przeróżne leki na żołądek.

Najbiedniejszy nawet z synów Albionu poczuwałby sobie za największy dyshonor, jeśliby nie skosztował pieczonej gęsi i plum-puddingu, suto zakrapiając te przysmaki „very-dragerrs'ami", (rodzaj punczu), z którego palcami należy wyciągnąć, mimo, iż podane na gorąco, owoce.

Dzień Wigilji jest również świętem dzieci, które obdarowują zabawkami, uroczystością nielada jest też dla zakochanych, którym pozwala się publicznie pocałować pannę, gdy przechodzi pod bukietem z zieleni, zwisającym z sufitu.

Kolendom naszym—odpowiadają tam odwieczne „Christmas Carols", które wyśpiewują przy płomieniu tradycyjnej kłody w kominku, opowiadając sobie fantastyczne bajki, a wśród nich ze szczególną ambicją — podania o rodzinnym duchu, co lubi się błąkać po domostwach w noc Bożego Narodzenia.

W Szwecji i Norwegji do świąt tych trwają przygotowania całe 3 miesiące.



Wielką sensacją Paryża jest dekorowanie w tygodniu przedświątecznym t. zw. „wielkich magazynów".

Tradycyjnem daniem w Skandynawji jest wieprzowina, którą spożywa się po Pasterce, a to dla odróżnienia chrześcijan od żydów. Inną potrawą jest znów tak zwany „lutsbick", który przygotowują ze specjalnym zamiarem pobudzenia pragnienia.

O ile w Polsce siano lub słoma układa się na stole, Szwedzi są praktyczniejsi w zachowaniu tradycji o podściółce ze stajenki, rozrzucając ją obficie pod stołem, gdzie nie rzadko koniec następuje uroczystości w pijackim śnie.

W Serbji uczta rozpoczyna się z brzaskiem i gospodyni sprasza domowników, chodząc po pokojach i... gdacząc, jak kura. Tradycyjną potrawą jest kołacz, w którym, podobnie jak gdzieindziej na Trzech Króli, ukrywa się zawczasu srebrną monetę, co oznacza dla jej przygodnego znalazcy pomyślną wróżbę szczęścia w ciągu roku.

Wszędzie jednak, na całym świecie, Boże Narodzenie jest największem świętem dla dzieci, które z upragnieniem oczekują tego dnia, bo wiedzą, że wśród takich lub innych tradycyj zawsze będzie jedna, która ma na celu obdarowanie ich zabawkami.



Aniołowie się radują...

Od wieków zawsze marzył człowiek, by na skrzydłach, jak ptak, swobodnie móc bujać w przestworzach, wysoko ponad ziemią i zdala od trosk codziennego życia. Nie będąc jednak w stanie zrealizowania tego pięknego snu, szukał pocieszenia w fantastycznych wyobrażeniach o jakiemś lepszem życiu i wyższej ludzkości, bliższej do najwyższego ideału, do Pana zastępów. Rysuje się więc w bujnej wyobraźni artystów postać wysłannika Bożego, co na skrzydłach zniża się na ziemię, anioła, o którym wspomniano w Piśmie Świętem i ucieleśnia tego ducha w formy ludzkie, dodając mu niezbędne narzędzia do lotu — skrzydła.

Aniołów takich spotykamy w starodawnem malarstwie, u mistrzów włoskich, u niemców i u flamandczyków. U Hugona z Gandawy widzimy ich nawet w pontyfikalnych strojach biskupich, przybranych w królewskie korony; u Benozzo Gozzoli noszą szeroko rozpięte skrzydła; anieli Pierro della Francesca, przezwani są „trubadurami Chrystusa", a u Kranacha i Holmana Hunta, towarzyszą zabawom Dzieciątka Bożego.

Nie byłby to więc wyłączny wpływ wzmianek o aniołach, które czytamy w Piśmie Świętem. W źródle tem znajdujemy przecież wzmianki o innych postaciach — o zwierzętach Ezechiela, demonach itp. — te jednak nie nastręczają artystom tylu tematów, podczas gdy wyobrażenia aniołów widzimy tam nawet, gdzie milczy o nich Pismo. Anieli towarzyszą Tobjaszowi, anieli unoszą się ze śpiewem nad stajenką w Betleem, nieodłączny jest cały ich korowód przy wielu scenach z życia Świętej Rodziny lub Świętych Ojców Kościoła.

Spływają z niebios, igrając w przestworzach jak jaskółki, chodzą po ziemi, pląsając radośnie na tle pięknej natury — a wszędzie w postaci ludzkiej, lecz wszędzie fantastycznie skrzydlate.

To już nie są duchy — ludzkie formy, które im nadała wyobraźnia jest wybitnym dowodem, że logika ustępuje miejsca idealnemu marzeniu o aniele-człowieku i człowieku-aniele, o nad-człowieku.

Marzył człowiek o bujaniu w przestworzach, dlaczego jednak nie przeobraził się poprostu w ptaka? Fantazja artystów nie uznawała podobnej przemiany, bo jeśli nawet stworzyła centaurów, syreny lub faunów, półludzi, półzwierząt, to — człowiek, marząc o locie, niczego innego pragnąć nie mógł jak tylko skrzydeł. A głowę zawsze pozostawiał nawet centaurom, syrenom i faunom jako centrum, skąd promieniuje rozum i piękno, ręce zaś jako wykonawców czynów, dyktowanych rozumem.

O ile nauka Kościoła dzieliła aniołów na 9 różnych hierarchji, z których Serafini najbliżej stoją Tronu Bożego, — to jednak artysta oblubował sobie najniższy stopień — zwykłego anioła, jako tego, z którym sądzone jest człowiekowi utrzymywać najbliższy kontakt. Artysta nie stara się bynajmniej o logiczny wywód myślowy. Swobodnie więc odrzucając na stronę naukę i dyktowaną przezeń klasyfikację tak samo wyobraża sobie anioła, wysłannika Bożego na ziemi, jak i anioła, którego rolą jest oddawanie hołdu Stwórcy u stóp tronu niebieskiego.

To samo cechuje wyobrażenie szczegółów. W Piśmie Świętem znajdujemy, iż anioł wyposażony jest w trzy pary skrzydeł: jedna u ramion, druga u pasa, trzecia, zwieszająca się do stóp.

Artysta nie uznał tej zasady — wyłącznie kierując się, zapewne, bliższą sercu estetyką. Jedna para skrzydeł wystarcza mu dla wyobrażenia swobodnego lotu, podobne do skrzydeł, które przypisano w starożytności Ikarowi.

Fantazja artysty sięgnęła jeszcze wyżej. Cherubin — ten filozof zatopiony w kontemplacji Boga, ten wyobraziciel czystego rozumu, rozpamiętujący wieczną tajemnicę wszech bytu — przeobraził się w oczach artysty w pyzatego dzieciaka, tryskającego zdrowiem i radością, uderzającego doskonałością piękności dziecięcej, o której każda matka marzy dla swego potomka. Do dziś dnia zapominamy gdy mowa o Cherubinach, iż nazwa ta odnosi się do tego najuczeńszego z teologów, o którym wspomina Pismo Święte, a widzimy w nim tylko ideał piękna u dziecka. A że w wielu bardzo obrazach wyobrażenie Cherubina ogranicza się do odtworzenia główki i paru skrzydeł, to dlatego zapewne, iż rozum promieniujący z głowy jest cechą hierarchiczną tego anioła, a w twarzy dziecięcej — w cudnym wyrazie zachwytu, który spo-

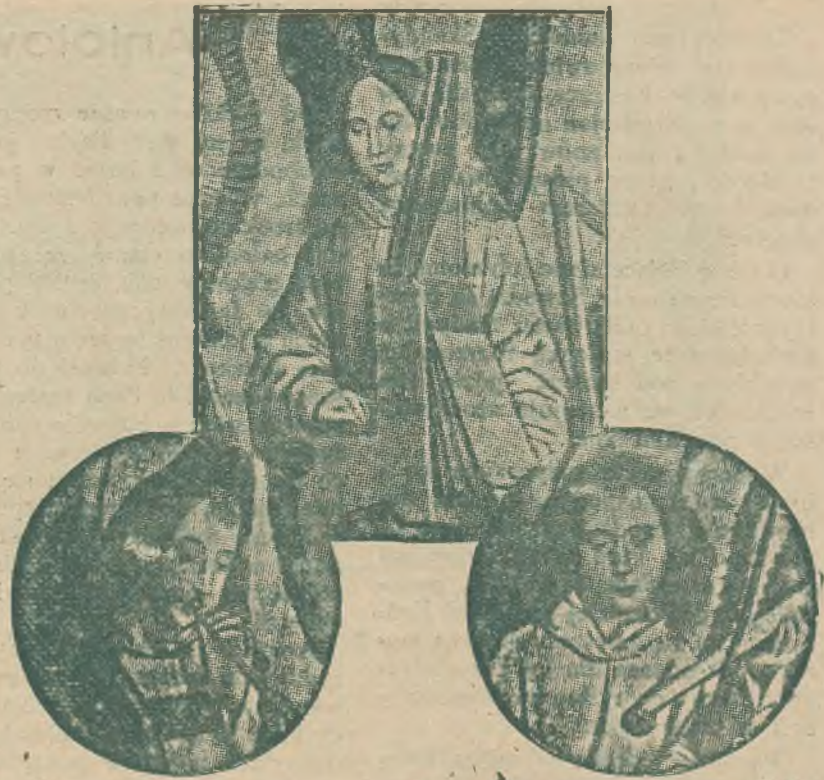
strzegamy u niemowląt, czytamy najwyższą ekstazę Cherubina nad objawieniem Prawdy.

Takich aniołów, dzieci-Cherubinów, nieodłącznie stawili artyści obok wyobrażenia Dzieciątka Bożego, jakgdyby przypuszczając, iż anioł skrzydlaty o formach słusznego młodzieńca zanadto uroczyście przeciwstawiałby się niemowlęcym kształtom Jezusa, co jeszcze nie wyszedł z kolebki.

Bóg-Człowiek — więc i Jemu należało dać rówieśników, skoro jest jeszcze dzieciątkiem, towarzyszów zabaw, skoro ludzkiem żył życiem.

Zabawa, wesele — stąd też powstało wyobrażenie o wdzięcznych korowodach aniołów, grających, śpiewających lub pląsających.

Najwięksi purytanie, Anglicy, uznają, iż przy obchodzie naprzykład Bożego Narodzenia, tego najradośniejszego święta, może być miejsce dla objawów wdzięcznego wesela.



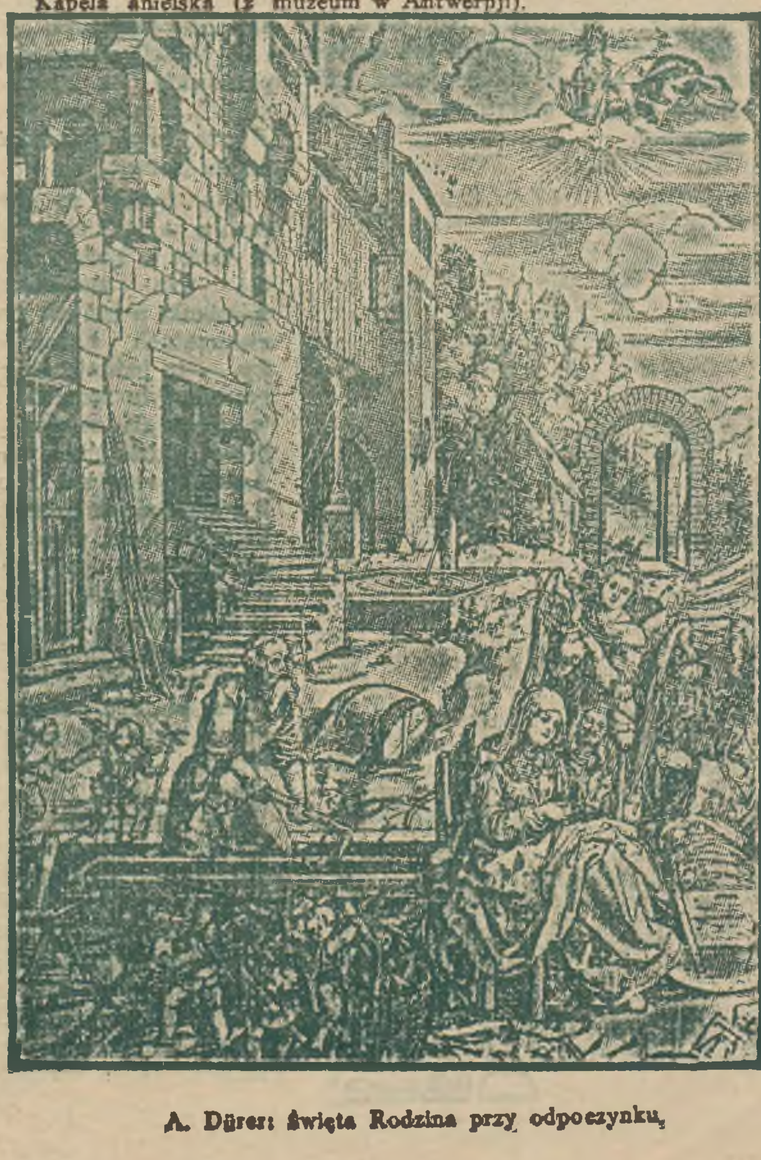
Kapela anielska (z muzeum w Antwerpji).



Lucca della Roma: Anieli-muzykanci.

Starodawni zaś mistrzowie sztuki bynajmniej nie kierowali się purytańskiemi zasadami i z Pisma Świętego nawet czerpali niekiedy lekko pojęte tematy. A że było powiedziane w Piśmie Świętem, iż „aniołowie się radują" z Narodzin Syna Bożego, postawili sobie pytanie, jak i dla czego mogły te czyste duchy okazać swą radość.

A wokół nich, na placach i drogach w słońcu skąpanej Umbrji lub Toskanji cóż czyniła dziatwa, gdy rozbrzmiewało weselem? Śpiewała, tańczyła. Tańczyła, trzymając się za ręce, żwawe farandole, śpiewała, zlewając głosy w zespole chóralnym,



A. Dürer: Święta Rodzina przy odpoczynku.



Chór Anielski (muzeum w Antwerpji),



Aloise Viviarini: Madonna.

któremu przygrywano na violach i lutniach. Tak samo więc i anieli, na świetlanych łąkach Raju musieli okazywać swe wesele.

Skoro mowa o muzyce, nie należy zapominać, iż sztuka ta jest jedyną, którą człowiek ośmielił się wprowadzić do niebios. Trudno wyobrazić sobie aniołów w roli budowniczych, w roli malarzów lub ceramików. Trudno sobie naprzykład wyobrazić, iżby anieli zabiegali o wystawę sztuki, ileżto razy, natomiast, spotykaliśmy obraz koncertu lub chóru anielskiego. Nie gra tu nawet roli instrument muzyczny, zastosowany jedynie do danego okresu czasu.

W ten sposób, dzięki artystom, anioł przestał być w naszej wyobraźni wysłannikiem Bożym, tem mniej go widzimy w roli bojownika lub marzyciela, zatopionego w kontemplacji. Wyraz „anioł" budzi w nas mimowoli pojęcie o młodzieńczej istocie, promieniującej szczęściem i radością, mimo, iż spokój jest istotnem podłożem jego umiarkowanego charakteru. Nie płacze, ale i nie śmieje się. Uśmiech i wyraz ekstazy dostatecznie malują nam radosne jego usposobienie.

Bo nie mogłoby być inaczej, skoro istota ta jest uosobieniem wyższej natury, przepojonej godnością, jest ideałem nad-człowieka.



Holman Hunt: Ucieczka świętej Rodziny z Egiptu.

Odgłosy ekonomiczne

Wiele poczyniono już wysiłków w dziele odbudowy państwowości Polski, sprawa atoli silnego ugruntowania podstaw gospodarczego bytowania naszej Ojczyzny przez długi czas nie znajdowała odpowiedniego załatwienia. Eksperymenty, wahania i ryzykowne reformy w dziedzinie finansów zgubny wpływ wywierały na normalny rozwój stosunków gospodarczych.

Pragnąc w miarę możności przyczynić się do spopularyzowania tych interesujących zagadnień, zwróciliśmy się do najwybitniejszych fachowców w tej dziedzinie, którzy łaskawie zaofiarowali serję artykułów i wywiadów, wyrażających ich opinję i poglądy na sprawy finansowe i gospodarcze Rzeczypospolitej.

Pożyczka stabilizacyjna

Zastanawiając się nad położeniem gospodarczem Polski, dochodzimy do wniosku, iż kwestja dopływu kapitałów zagranicznych jest zagadnieniem pierwszorzędnej wagi. Uzasadnienie tego twierdzenia znajdujemy nietylko w samym charakterze gospodarczym kraju, na który składają się przedewszystkiem bogactwa naturalne, pozostające na niedość wysokim stopniu rozwoju, ale i w pewnych względach politycznych, a przedewszystkiem w powszechnem dziś zjawisku, iż potęga mocarstwowa krajów znajduje oparcie na silnym gruncie ekonomicznym. Nie może tu ujść naszej uwagi, iż Polska leżąc pomiędzy dwoma sąsiadami — Niemcami i Rosją, zawsze będzie musiała się liczyć z poważnemi trudnościami, a Niemcy już zdążyły przy wydatnej pomocy kapitałów zagranicznych, które po pożyczce stabilizacyjnej, opartej na planie Dawesa, obficie napłynęły do kraju, poczynić ogromne postępy w dziedzinie gospodarczej.

Twierdzenie, iż możnaby oprzeć rozwój gospodarczy kraju na zasadach samowystarczalności, t. j. przy pomocy własnych [illegible] łu, należy do dziedziny teorji. Nie mówiąc już o szeregu błędów przeciw oszczędności i rozumnej gospodarce, które popełniliśmy w ubiegłych latach, nie możemy zapominać, iż ściśle uzależnieni jesteśmy od całokształtu gospodarki europejskiej i światowej, która do dziś dnia nie może przeboleć skutków wojny światowej.

Czy mamy prawo wobec tego łudzić się ambicją, iż sami damy sobie radę z odbudową gospodarczą kraju, czy mamy prawo osłabiać tempo tych poczynań, gdy porównamy je z szybkością rozwoju w innych krajach?

Opóźnienie naszego rozwoju gospodarczego może nas pozostawić daleko w tyle poza innemi państwami i w dziedzinie polityki.

Jeżeli więc zmuszeni jesteśmy uciec się do pomocy kapitału zagranicznego, naszem dążeniem winno być równocześnie staranie, by dopływ obcego kapitału pociągnął za sobą możliwie najniższe koszty.

Pożyczka stabilizacyjna, odpowiadając zasadniczym poglądom zagranicznych, a zwłaszcza anglo-saskich finansistów — jest bowiem operacją międzynarodową i opiera się na planie, gwarantującym ciągłość i racjonalność polityki gospodarczej — stała się punktem zwrotnym w naszem położeniu na rynku światowym, stwarzając jednocześnie możliwość do uzyskania dalszych pożyczek.



Dr. FELIKS MŁYNARSKI
Wice-Prezes Banku Polskiego.

Niezbędnym warunkiem uzyskania pożyczki stabilizacyjnej i 20 miljonów dolarów kredytu dla Banku Polskiego było przyjęcie przez Polskę programu stabilizacyjnego, który w pierwszym rzędzie wprowadził u nas reformę walutową przez prawną stabilizację złotego. Bez takiej reformy nie mogło być mowy o normalnym dopływie kapitałów zagranicznych, a jest to również krok decydujący dla przyśpieszenia rozwoju oszczędności, czyli, inaczej mówiąc, kapitalizacji wewnętrznej.

Najwięcej zainteresowania w całokształcie tego programu wywołało ustanowienie t. zw. „advisera", czyli doradcy w sprawach, podpadających pod ogólny plan.

Ujęcie roli tego „advisera" bynajmniej nie uwłacza naszej niezawisłości, a ustanowienie tej funkcji i powierzenie jej Amerykaninowi dowodzi uniezależnienia się Ameryki od tradycyjnego pośrednictwa Londynu.

Stanowisko, które zajęła Ameryka w sprawie pożyczki stabilizacyjnej, i ostateczny wynik pertraktacyj pozwala nam twierdzić, iż Polska stała się w oczach tamtejszych sfer gospodarczych gruntem dla przyszłych inwestcyj, tem samem podnosząc rolę naszego kraju w dziele odbudowy Europy.

Tło polityczne naszej pożyczki stabilizacyjnej równoważy z nawiązką ofiary i ustępstwa, które poczyniliśmy w planie i w samym kontrakcie.

Od nas dzisiaj zależy ustalenie tych zdobyczy na rynku międzynarodowym i wyciągnięcie odpowiednich konsekwencyj praktycznych. Pożyczka stabilizacyjna stworzyła nam nowe horyzonty, zrealizowanie zaś dalszych korzyści zależy od naszej polityki i umiejętności stosowania wypróbowanych metod działania.

Feliks Młynarski.

Wywiad z p. Charles S. Dewey

Koncepcja nadzoru nad wykonaniem planu stabilizacyjnego i zużyciem pożyczki, będąca jednym z wyników prywatnego układu pomiędzy rządem a bankierami zagranicznemi wywołała w swoim czasie różnorodne komentarze ze strony opinji publicznej. Nie wdawaliśmy się dotychczas w bliższe rozważania tej sprawy, woleliśmy raczej doczekać się sposobności osobistej rozmowy z p. Charles Dewey, który, jak wiadomo, od kilku tygodni piastuje urząd tak zwanego doradcy przy Rządzie Polskim.

— Jaki jest zakres działalności doradcy i czy funkcje te nie łączą się w jakimkolwiek stopniu ze sprawowaniem ogólnej kontroli? — zapytaliśmy na wstępie tej niezwykle interesującej rozmowy.

— Zakres mojej działalności — objaśnia nam p. Dewey — jest ściśle przewidziany w planie stabilizacyjnym. Dotyczy on spraw Banku Polskiego, do którego wszedłem, jako członek Rady, nie korzystając bynajmniej z wyższych uprawnień od polskich moich kolegów. Jestem jedynie doradcą i występuję w pierwszym rzędzie w roli łącznika pomiędzy rynkiem pieniężnym zagranicznym a Bankiem Polskim, przyczem rynkiem tym może być równie dobrze New York, jak Londyn lub Amsterdam. Atrybucje te przewidują pozatem utrzymanie łączności pomiędzy zagranicznemi bankami emisyjnemi a Bankiem Polskim i wreszcie pomiędzy Skarbem, bankami emisyjnemi i Bankiem Polskim.

— Czy nie może nam pan objaśnić — zapytujemy w dalszym ciągu — co wpłynęło na stworzenie nowej koncepcji wzajemnego doradzania i to w podobnej formie?

— Stan przedwojenny stosunków gospodarczych między narodami nie znał tak wielkiego zbliżenia, jakie obserwujemy dzisiaj. Powolniejsze było tempo życia, wzajemna wymiana handlowa i finansowa nie przejawiała się w tak jaskrawych formach. Każdy kraj niemal żył własnem życiem gospodarczem i pogorszenie stanu rzeczy u najbliższego go chociażby sąsiada nie wpływało tak ujemnie na dalsze kształtowanie się własnego położenia. Zbliżenie obecne wywołała wojna światowa, co zwłaszcza odbiło się na nawiązaniu ścisłego kontaktu pomiędzy Ameryką a kontynentem europejskim. Wojna była przyczyną wzmożenia się eksportu z Ameryki i udziału Stanów w życiu gospodarczem wielu państw europejskich, występując w roli ich wierzyciela. W wyniku rozrachunków międzypaństwowych powstał spadek walut i jednocześnie z tem inflacja, wobec czego banki emisyjne całego świata zrzeszyły poniekąd swoje poczynania, uważając się za jedną wspólną rodzinę, która musiała wspierać każdego ze swych członków, skoro tylko zmogła go choroba, a tem samem mógł się stać ciężarem dla rodziny. Postawienie na nogi tego chorego pozwala powrócić do normalnych warunków pracy. Okoliczności te wywołały w dalszej konsekwencji konieczność wzajemnego doradzania sobie. Zwrócę uwagę w tem miejscu, iż zainteresowanie się sprawami gospodarczemi innego kraju nie nosi bynajmniej jednostronnego charakteru. Zainteresowanie to jest najzupełniej wzajemne. Nie dlatego więc tylko Ameryka pożycza Polsce pieniądze, by uskutecznić taką lub inną lokatę kapitału, ale także dąży do zabezpieczenia sobie rynku zbytu dla swego eksportu. Charakterystycznym jest fakt, iż Ameryka przechodziła w swoim czasie identyczną fazę rozwoju gospodarczego, który obserwujemy w Polsce. Szybki rozwój gospodarczy wymaga wielkiego doświadczenia ze strony odpowiednich sfer i analogja, o której wspomniałem stała się jedną z przyczyn, by doradcą w Polsce był właśnie Amerykanin.



Powodzenie rzadko bywa wynikiem szczęścia. Jest rezultatem ciągłego wysiłku.

Charles S. Dewey.

— Czy interesował się pan już przedtem Polską? — zapytujemy.

— Nie. Nie ukrywam bynajmniej, iż Polski wcale nie znałem, lecz okoliczność ta pozwala mi może być bardziej objektywnym. Oddawna interesowałem się finansami i rada moja zawsze może być uważaną jako objektywną, choć zwrócą się o nie ludzie, daleko lepiej znający własny grunt.

— Czy uważa pan, iż pobyt jego w Polsce w charakterze doradcy wpłynie dodatnio na dopływ kapitałów obcych?

— Bezwzględnie. Objektywizm, który zawsze okażę, dodatnio wpłynie na ewentualne nawiązanie kontaktów w sprawie nowych pożyczek. Nie jestem wszakże zdania, iżby należało śpieszyć się z zaciąganiem nowych zobowiązań. Pożyczka stabilizacyjna przeznacza 16 miljonów dolarów na cele inwestycyjne, a zbyt szybki przypływ kapitałów może się okazać tak samo szkodliwym, jak jego brak. Przypomina to głodnego człowieka, który mając możność dostąpienia do suto zastawionego stołu, zbyt żarłocznie rzuciłby się do spożycia potraw i nie będąc w stanie ich przetrawić, zapadłby na obłożną chorobę

— Czy widzi pan jednak — zapytujemy zkolei — jaki charakter nosić będzie dalszy dopływ kapitału i na jakie cele będzie on zużyty. Czy, naprzykład, nie będą to pożyczki, skierowane na zaspokojenie potrzeb budownictwa?

— Aby tylko nie w tym kierunku — żywo zaprzecza p. Dewey. — Stanowczo odradzałbym pożyczek budowlanych, gdyż stwarzają one martwy, powolnie rentujący się i czysto lokalny kapitał. Dopływ obcego kapitału o tyle tylko jest pożyteczny, o ile stwarza przyrost bogactwa, który ze swej strony stwarza nowy kapitał. Zarówno dający, jak i odbierający pożyczkę przedewszystkiem myśleć musi o pozytywnem zwiększeniu bilansu handlowego,, który wywołałaby pożyczka. Pożyczka musi przynieść wy-

datną pomoc w kierunku zwiększenia wytwórczości dłużnika. Uważałbym przeto, iż ze względu na rolniczo - dobywczy charakter zasobów ekonomicznych kraju, nowe pożyczki winny zasilić w pierwszym rzędzie rolnictwo i eksploatację naturalnych bogactw. Nowe inwestycje, których potrzebowałoby rolnictwo, to meljoracje, podniesienie produkcji roli i rozrost przemysłu przetwórczego. W innych dziedziczki, skierowane na zaspokojenie dziedzinach życia gospodarczego inwestycyj potrzebuje górnictwo, przemysł naftowy i t. p. Pozostaje jeszcze sprawa komunikacji. Jest to bezwzględnie niezmiernie doniosłe zagadnienie, uważałbym jednak iż zająć ono może dalsze miejsce w ogólnym planie rozwoju gospodarczego kraju.

Wł. Józefowicz.

Poznaj źródło zakupu

Na tle podobieństwa nazw firm zachodzą często nieporozumienia, szkodliwe dla przedsiębiorstw, i wytwarzające niezdrową konkurencję.

W niektórych wypadkach zjawisko powyższe jest powodowane złą wolą i chęcią naśladowania, w niektórych zaś wywołane jest poprostu przypadkiem, jak np. wtedy, gdy dwie firmy fabrykujące pokrewny towar, nazwy swe czerpią od jednej miejscowości, gdzie się obydwie znajdują.

Podobne nieporozumienie chcemy tutaj wyjaśnić.

Organizatorom i kierownikom biur w Polsce wiadomem jest, iż najlepsze meble biurowe wyrabiane są w Pabianickiej fabryce, mało jednak kto wie, że w Pabjanicach egzystują dwie fabryki mebli — jedna własność p. Magrowicza, produkująca najlepszy towar, znany już chlubnie na rynku, druga — znajdująca się w rękach żydowskich, reklamująca się również jako Pabjanicka Fabryka Mebli.

Wyjaśniwszy powyższe, chcemy jeszcze zakomunikować wszystkim pragnącym nabywać tylko towar pierwszorzędnej jakości, że Pabjanicka Fabryka Mebli J. Magrowicz" żadnych przedstawicielstw nie posiada, natomiast prowadzi swe własne biuro fabryczne w lokalu Towarzystwa „Pacific" przy Alei Jerozolimskiej Nr. 25.



Film z życia Liljany Gish

— Urodziłam się — opowiada o swym „filmie życia" Liljana Gish — w Springfield (Ohio), mam jednak wrażenie, że trudno by mi było znaleźć dom, w którym ujrzałam światło dzienne, gdyż rodzice moi — ojciec był kierownikiem teatrzyku wędrownego — wyjechali z Springfield wkrótce po moim przyjściu na świat.

Karjerę sceniczną rozpoczęłam po ukończeniu lat piętnastu. Powodziło mi się rozmaicie, najbardziej cierpiałam z powodu, że siostra moja Dorothy musiała grać w innem mieście.

Ojciec przenosił się ustawicznie z miasteczka do miasteczka, tak, że nie widywaliśmy się latami.

Pewnego dnia uległam nieszczęśliwemu wypadkowi, dzięki któremu ujrzałam znowu siostrę i ojca. Wypadek ten zdarzył mi się podczas premjery pewnej sztuki, w któ-



Liljana Gish w filmie „Czerwona litera".

rej grałam czarodziejkę: unosząc się nad sceną. Utrzymywano mnie na sznurze, który w pewnym momencie pękł. Upadłam, złamałam nogę; byłam pewna, że karjera moja jest skończona. Leżąc na łóżku boleści, odczułam tak szaloną tęsknotę za domem, że zerwałam się z łóżka i kulejąc uciekłam do Kalifornji, gdzie znajdowali się rodzice i siostra.

Rodzina moja rozprawiała ustawicznie o filmie, który mnie wtedy mało interesował. Codziennie obijały mi się o uszy nazwiska Mary Pickford i Griffitha. Ani ona ani on nie byli jeszcze tak sławni, jak dziś. Mary odwiedziła nas pewnego razu wraz z Griffithem. Wizyta Griffitha, który uznał, że nadaję się do filmu, zadecydowała o mojej karjerze.

Od tej chwili rozpoczęła się wzmożona praca. Zaczęłam grać role kobiet młodocianych, naiwnych, demonicznych, tragicznych, bez wyboru i często bez planu. Największem powodzeniem cieszyły się wtedy filmy: „Judyta" i „Narodziny narodu".

Gdy Griffith przeszedł do Biograph Company, zabrał mnie ze sobą. Dzieliłam z nim również dole i niedole w Fine Arts, First National i United Artist.

Nadszedł wreszcie wielki moment w mojem życiu: wytwórnia Metro Goldwyn Mayer zaangażowała mnie na stałe. Z tą chwilą skończyła się dorywcza i nerwowa praca; zamiast niej przyszła robota spokojna i planowa, za którą tęskniłam. Teraz mogłam zrealizować swe dawne marzenia i zagrać Mimi w „Cyganerji", która jest moją ulubioną postacią.

Nie wiem co przyniesie przyszłość. Surowi krytyce twierdzą, że ostatnia moja kreacja w „Krwawej literze" przewyższa „Mimi" i „Białą siostrę". Może mają rację, może się mylą...

Na czem polega tajemnica mej sztuki? Odpowiem szczerze: na pracy. Nawet najgenjalniejszy człowiek musi być pracowity, musi poddawać się pewnym rygorom. Mówię to bez patosu i przesady. Nie twierdzę, że można wszystko osiągnąć pracą, jestem jednak przekonana, że pewne rzeczy musi się bezwzględnie na tym warunku oprzeć.

———

Mogiła Nieznanego Żołnierza

(Corso — Capitol — Pan).

Nowy ten film wykonanay przez wytwórnię „Star" i osnuty na tle powieści A. Struga jest pierwszym filmem polskim zakrojonym na szeroką skalę.

Reżyser, R. Ordyński nadał właściwe tempo i całość wypadłaby bardzo udatnie, gdyby nie pewne błędy trochę nierównego scenarjusza, który nie uwydatnia należycie martyrologji żołnierzy polskich w walce o wolność, co było myślą przewodnią Struga. Główny nacisk kładzie reżyser na miłość Nelly do i tu osiąga pełny sukces, jakkolwiek należałoby może nadać przeczuciom bohaterki o los „kochanego tatka" charakter bardziej wizyjny, co dodatnio odbiłoby się na całości.

Największe zastrzeżenia budzi zakończenie, do którego, po ślicznej scenie na cmentarzu, wpleciono zupełnie niepotrzebne wycinki zdjęć z rewji Listopadowej.

Doskonale wypadły sceny zbiorowe, jak napad zbuntowanego chłopstwa na dwór i fabrykę oraz niektóre zdjęcia wojenne.

Przyjemną niespodziankę zrobiła Malicka, która w zamłodej wprawdzie dla siebie roli wykazała duży postęp, grając swobodnie i z uczuciem.

Dobrzy są Gorczyńska i Leszczyński, jako kapitan Larowski.

Świetne typy bolszewickie dali Bronisżówna i Justjan. Nina Olida, dość sztywna i wnieodpowiedniej roli.

Nie należy brać również za złośliwość, jeśli stwierdzimy, iż Marr napewno nie zostanie „polskim Valentinem". Bardzo dobrą sylwektę ordynansa stworzył Walter.



Dolores del Rio i Victor Mc Laglen w filmie Foxa „Igrzysko namiętności". Nazwa tego obrazu zmieniona została na „Pieszczoty djablicy".

Humor francuski

Caran d'Ache

II.



Dramat z powodu psa o 12-krotnym rodowodzie.

— Nie należy znów życia brać zbyt na serjo — pocieszał czasem studentów jeden z największych filozofów, Renan, którego bynajmniej posądzać nie można o frywolność.

Maksyma ta jest bodaj najlepszą, jaką można zastosować do światopoglądu humorystów, których zadaniem jest rzucenie różowej zasłony śmiechu na najbardziej pesymistycznie nawet ujęte obrazki z życia.

To też humorysta nie koniecznie musi operować szarżą, jak karykaturzysta, którego jedyną bronią jest przesada w wyrażaniu form. Humorysta może jaknajrealniej ujmować tematy, wyławiając je z życia i eksponując nawet, podobnie, jak w kinematografie, „taśmowym" systemem".

Niezastąpionym mistrzem w tym rodzaju humoru był zmarły przed kilkudziesięciu laty artysta francuski, Caran d'Ache.

Wielu z pośród nas, znających język rosyjski, dopatrzeć się może w tem nazwisku analogji ze znanym wyrazem „karandasz" (ołówek). Tak jest, istotnie, bo artysta, pochodząc z rodziny francuskiej, której kolebka została założona w Moskwie po kampanji rosyjskiej przez wiarusa napoleońskiej gwardji, niejakiego Poiré, zaczął podpisywać tym pseudonimem pierwsze swoje rysunki.

Dziwny był to człowiek. Tradycje rodziny wojskowej wywarły głęboki wpływ zarówno na jego powierzchowności, jak i na upodobaniu do czerpania tematów z życia wojskowego.

Kto nie znał tego „boulevardier'a" paryskiego, podobnego raczej do oficera po cywilnemu, niźli do artysty?

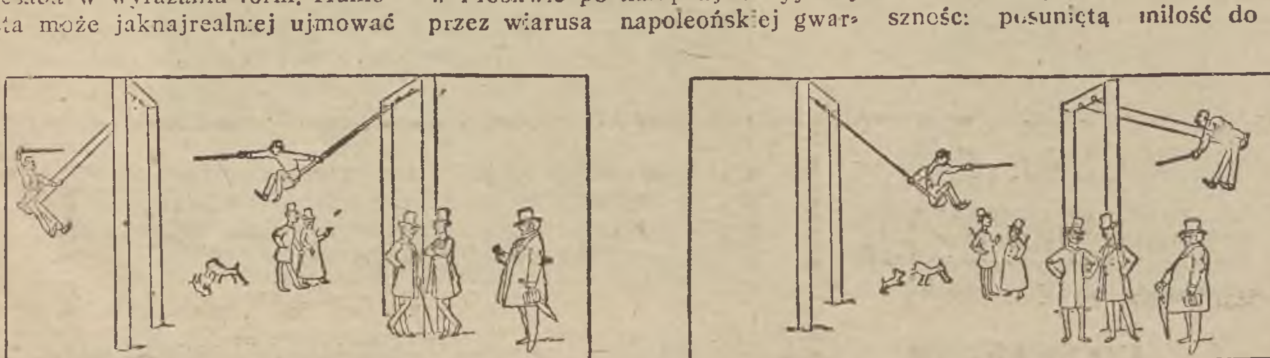
Caran d'Ache wiecznie był w ruchu, obserwując tłumy stołeczne i skrzętnie notując w pamięci spostrzeżenia, a za powrotem do domu, siedząc za stołem, podobnym raczej do rajzbretu kartografa, rysował zawzięcie szeregi postaci, zaopatrując je w ostre, jak szpilki przypiski.

„Karandasz" był bronią tego pseudo wojskowego, którą, jak najlepszy szermierz, zadawał dotkliwe rany.

Bogaty kalejdoskop życia, który wyszedł z pod tego genjalnego ołówka, nie bywał ubrany w groteskowość, jak to widzieliśmy u angielskiego humorysty Robinsona. Postacie Caran d'Ache'a, proste w wykonaniu i najzupełniej realne, bawią nas raczej groteskowością sytuacji, które się wyłaniają z najprostszych często wydarzeń życia.

Dokładna znajomość świata pozwalała mu operować wśród różnych sfer społeczeństwa.

Weźmy, naprzykład, grupę, otaczającą przybitą staruszkę nakazem policji przywdziania psom nagłowników. Obraz ten jest groteskowem zakonczeniem serji migawek, w których widzimy do śmieszności posuniętą miłość do psa.



Bujanie gości.

Cóż zwyklejszego i bardziej logicznego od rozporządzenia policyjnego — a jednak, zdziwaczałe umysły potrafią robić z tego tragedję.

Obraz ten, to jeden z wielu, które artysta poświęcił śmiesznostkom pełnej przesądów i dziwacznych manji arystokracji.

Trudno powstrzymać się od śmiechu, gdy widzimy tragedję artysty, który kształtuje całe życie swe na epizodycznej roli i kalejdoskopie karjery scenicznej ponosząc słuszną karę za śmieszne, a tak częste w tej sferze kabotyństwo.

Nie obcą była również Caran d'Ache'owi pomysłowość, przypominająca fantastyczną wynalazczość znanego nam Robinsona.

I tu jednak zarysowuje się poważna różnica w traktowaniu przedmiotów.

Robinson śmieje się — i to mu wystarcza, Caran d'Ache natomiast kąsa boleśnie i tylko tego szuka. Czy można porównać wynalazek pojedynkowy francuskiego artysty z takim semaforem Robinsona? Caran d'Ache, jak i wielu z nas, zapatrywał się na zbagatelizowanie pojedynku, jak na próżne „robienie dziur w niebie", więc niesie wynalazek, któryby stanowczo zabezpieczyły „zajadłych" przeciwników od jakiegokolwiek ryzyka. Zwykłe „bujanie gości", jakbyśmy powiedzieli po polsku.

Caran d'Ache był jedynym w swym rodzaju humorystą, a jak wielce go sobie ceniono, najlepszym dowodem, iż dziennik „Figaro", do którego dostarczał 2 rysunki na tydzień, honorował mu za nie po 600 franków za sztukę, co, na owe czasy znakomitą stanowił zapłatę.

Wszędzie go znano: na bulwarach Paryża stworzył sobie sławę, którą do dziś dnia nie przestała czarować ludzi, czego dowodem ciągle wznawiane wydawnictwa jego albumów.



— Obejmie pan rolę Napoleona.



— Widziałem cię pod Lodi.



— Pani, jesteś żoną Imperatora.



— Kto się ośmieli zdjąć mi koronę z głowy?



Waterloo...



— Najjaśniejszy Panie! — Oto najlepiej upieczone.

Ze świata przemysłu

Produkcja Forda w świetle cyfr



Ostatni model wozu Forda.

Pojawienie się na rynkach zagranicznych nowego typu wozu Forda wywołało tem gorętsze komentarze, iż dzięki zażartej walce, którą konkurencja wypowiedziała temu „królowi" samochodu, zainteresowanie szerokich mas na całym świecie doszło do najwyższego napięcia.

Zwycięstwo Forda nie tylko świadczy o genjuszu organizatorskim tego człowieka, ale i o żelaznej, nadludzkiej prawie woli, którą jest przepojony.

— Co innego jest — oświadczył ze szlachetną dumą — budować doświadczalne modele w laboratorjum, a co innego, przerobić największą fabrykę na świecie i zastosować ją do masowej produkcji nowych typów.

Prawda, że wielką tu rolę odgrywa 19-letnie doświadczenie przemysłowe, którego dziełem było wyprodukowanie 15 miljonów wozów. Prawda, że niczem jest cyfra 15 miljonów dolarów, które wydano na przeróbkę fabryk, wobec olbrzymiej cyfry 4.868.427.012 dolarów, stanowiących koszt surowca na wytworzenie 15 miljonów wozów i wypłacenie 1.970.414.972 dolarów za wykonanie tego rekordowego dzieła.

Dziś, gdy dokonano już reformy, produkcja ta wyniesie zaledwie 200 wozów dziennie, wzrastając dopiero w przyszłym czerwcu do cyfry 12.000 wozów.

A jednak spokojnie zapatruje się wielki Ford na przyszłość i zapytany przez znanego ekonomistę, J. C. Forbes'a, jak szybko wyprodukuje nową serję 15 miljonów wozów, oświadczył, iż dzieła tego dokona w przeciągu kilku lat.

Mało tego. Niebywały ten wizjoner postępu przemysłowego nie spoczywa na laurach i chociaż najlepiej może sobie zdaje sprawę z doniosłości komunikacji samochodowej, której był pionierem, widzi przed sobą nową erę dla komunikacji powietrznej.

— Pomyśleć tylko — oświadczył pewnego razu w gronie najbliższych przyjaciół — co też uczynił Lindbergh w tym kierunku. Niedługo zapewne będziemy mogli osiągnąć szybkość 400 mil na godzinę, unosząc po 200 pasażerów, a wtedy podróż do Europy podobną będzie do „herbatkowej" wycieczki towarzyskiej.

Wizja przyszłości, którą wypowiada tak wielki realizator, jakim jest Ford, przestaje być złudą...

Z przemysłu samochodowego

Interesujące są postępy, które poczyniła znana firma francuska Citroen, zdobywając sobie jedno z czołowych miejsc w przemyśle światowym.

W r. 1919 — zaledwie 304 wozy Citroen skierowano na eksport, w rok później cyfra ta wzrosła dziesięciokrotnie, w r. 1925 liczono już 21.306 wozów rozsianych po wszystkich rynkach, a w roku ubiegłym wywieziono 40.000 wozów o wartości 600 miljonów franków.

Popularność tej marki, której wytwórczość stanowi dziś połowę całej produkcji francuskiej zawdzięcza niezmordowany organizator firmy, p. Andre Citroen wysokim zale-



Hale fabryczne Citroën'a

Muzyka z próżni

Często myśl twórcza traci swą moc, przechodząc przez mózg ludzki i centryfugalny system nerwowy, zanim zostaje podana otoczeniu, czy to w postaci pisma, obrazu lub też mowy. Formami bezpośredniego oddania tworu duchowego są tylko te, które mogą być wyrażone za pomocą wzroku lub gestu. Przykładem — taniec, przez który można oddać otoczeniu całkowite przeżycie duchowe.

Muzyczne twory możemy wprawdzie wyrażać za pomocą instrumentów; zupełnie bezpośrednio nie jest go w stanie oddać nawet głos ludzki, ze względu na nader ograniczoną skalę tonów.

Z tego właśnie punktu widzenia wychodzi niejaki Teremin, który wynalazł instrument, przetwarzający w muzykę każdą wibrację ręki, poruszenie palca, nawet mrugnięcie powieki, pochylenie głowy, jak i każde inne poruszenie ciała. Więcej jeszcze — okazuje się bowiem, iż przez takie poruszenie można wytwarzać nietylko tony, lecz i zmieniać kolor światła. Można również otrzymać te dwa zjawiska równocześnie, tak, że przy głębokim tonie i powolnym ruchu wytwarza się ciepły kolor brązowy, zaś przy staccatto, gdy palce u rąk poruszają się, jak przy grze na flecie, farby od jaskrawej czerwieni przejść mogą aż do czystej bieli. Dźwięk można eksponować na stole, na suficie, z przyległego pokoju, lub z dowolnego miejsca oraz wywoływać w najcudowniejszem brzmieniu, jakgdyby szedł z wielkiej odległości, jak echo.

W uzależnieniu formy współczesnej muzyki od ograniczonej skali tonów, Teremin widzi wielkie skrępowanie środków, za pomocą których wyrażamy myśli muzyczne. Pragnąc więc usunąć granicę, która istnieje naprzykład między jedną trzecią, a jedną czwartą tonu, dąży on do tworzenia takiego miękkiego przejścia między interwalami, a toby zmniejszyło zróżniczkowania do bezgranicznej możliwości, dając skalę, która na przestrzeni jednej oktawy nie miałaby tylko 16 tonow, lecz 50, 100 lub więcej pojedyńczych szczebli — dźwięków.

Zadanie, jakie ma do rozwiązania Teremin, sprowadza się nietylko do rozłożenia skali między najdelikatniejszem pianissimem, a najwyższem nasileniem tonalnem — na tysiące warjantów, lecz do przekroczenia granicy najwyższego napięcia dźwiękowego, dotychczas uzyskanego przez masę orkiestrową.

W tym celu stworzył on nowy instrument muzyczny, który jest kombinacją, złożoną z radjowego aparatu nadawczego i odbiornika.

Wiemy już, że dzięki falom elektrycznym możemy uzyskać zarówno najsilniejsze, jak i najdelikatniejsze dźwięki, jakie tylko ucho ludzkie jest zdolne pochwycić. W tej samej mierze znajdują się również granice możliwości instrumentu Teremina: przy najgłębszym, ledwie możliwym do pochwycenia przez ucho ludzkie tonie „C" 64-o ramiennego rejestru basowego, instrument ten, dzięki elektryczności, wydać może wysoki, leżący na granicy możliwości, dźwięk, o takiem napięciu, iż sprawia nam ból.

Dzięki tym tysiącom dźwięków niezależnie od ich skali i nasilenia, wyłaniają się nowe możliwości dla muzycznego wyrazu, gdy dotychczas dźwięk fletu, naprzykład nie mógł być w tej samej granicy intensywny, jak ton puzonu.

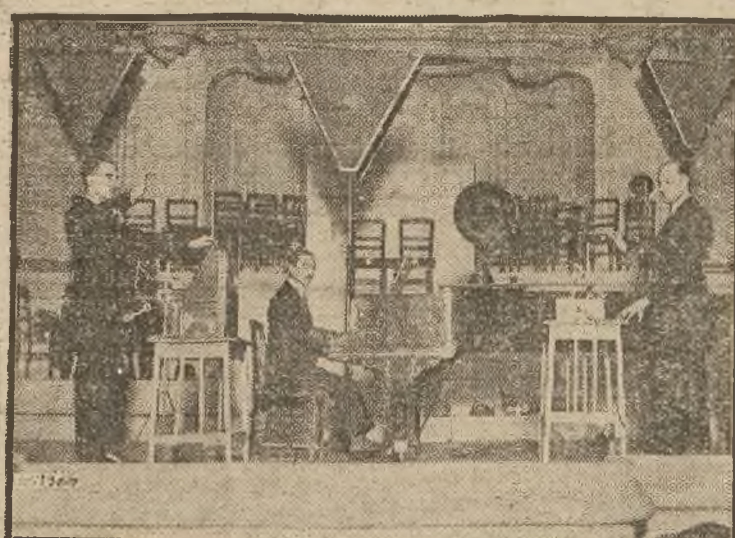
Czy te wszystkie możliwości odtwarzania oddadzą również swoje usługi i twórcom muzycznym — pokaże najbliższa przyszłość.

Wszechstronność instrumentu muzycznego Teremina wyraża się w tem, że jest on zdolny uzyskać każdy dowolny kolor tonalny, począwszy od najprostszego wźwięku fleta, aż do nieskończenie skomplikowanej budowy dźwięku głosu ludzkiego.

Według opinji znawców, nauka gry na tym instrumencie jest łatwiejsza od wszelkiej innej sztuki muzycznej; kto umie grać na fortepianie — temu aparat Teremina jest o tyle dostępny, że chwyty i rzuty, do których grający jest przyzwyczajony, mogą być zastosowane i w tym wynalazku, jedynie tylko z tą różnicą, że palce nie dotykają wcale klawiatury, a robią odpowiednie ruchy w powietrzu. Im bardziej ręka zbliża się do anteny, tem wyższy otrzymuje się dźwięk. Antenę tę widzimy z jewej strony anaratu w postaci pierścienia z drutu.

Aparat ten napozór zda się być szczytem doskonałości, w istocie jednak posiada on te same wady, co wszystkie dotychczasowe mechaniczne aparaty muzyczne. Dużo czasu upłynąć jeszcze musi, aż z połączenia sztuki z techniką ludzkość otrzyma instrument, równy w swoim dźwięku starym skrzypcom lub współczesnemu fortepianowi, którym aparat Teremina nigdy dorównać nie zdoła.

M. S-ny.



Odkrywca muzyki z próżni, Leon Teremin, przy swoim aparacie.

tom, przewyższającym wszelkie przeciętne wymagania.

Wdzięczna linja wozów i luksusowe wykończenie, na które zdolni są Francuzi, mogą być uważane za pierwszorzędne zalety. ważniejszem jest jednak, by wykonanie techniczne motoru i części stało na wysokości zadania, służąc do bezzawodnej komunikacji i przezwyciężając wszelkie możliwe przeszkody.

Ekspedycje wgłąb kontynentu afrykańskiego, przyniosły zasłużoną chlubę jej organizatorom, dając dowód niepospolitej wartości marki i stanowiąc jeden z najniezwyklejszych egzaminów wytrzymałości, jakie można sobie wyobrazić.

Film, opisujący ten wspaniały raid, był podziwiany przez liczne sfery publiczności, a nawet przez zagranicznych monarchów, jak belgijska para królewska.

Reklama?

Zapewne. Ale poza reklamą skonstatować tu należy niezwykłość czynu obywatela francuskiego, gdyż złożył on dowód, iż dzięki zaletom swojej marki mógł się przyczynić do najszerszej i najszczytniejszej ekspansji kultury francuskiej, stwarzając łatwości komunikacyjne poprzez olbrzymie przestrzenie nieznanych i niedostępnych terytorjów.

Bodajby każda reklama mogła być pojmowana w tak wyjątkowy sposób.



RÓWNE PRAWA RODZICÓW W OPIECE NAD DZIEĆMI

Jak wiadomo, w polskim kodeksie cywilnym pokutuje wciąż jeszcze archaiczny przepis, pozbawiający matkę prawnej opieki nad dziećmi na korzyść wyłączności ojca, a w razie jego śmierci — rady familijnej. Dwa państwa obecnie — i to jednem z nich jest „konserwatywna" Anglija — uchwaliły nowelę, przyznającą matce równe prawa w stosunku do dzieci w dziedzinie zarówno władzy rodzicielskiej, jak zarządu majątkiem. Drugiem państwem, które identyczną poprawkę do kodeksu cywilnego wprowadziło, jest mała północna Islandja.

NOWY PROJEKT WALKI Z ROZWODAMI W AMERYCE

W oryginalny sposób, a dla stosunków amerykańskich — być może — skuteczny proponuje zwalczać lekkomyślność w zawieraniu i zrywaniu małżeństw czcigodny prezes senatu w Los Angelos — sędzia Burnell. Według jego projektu małżeństwa mają być zawierane na lat 5 bez prawa zerwania związku przed tym terminem. Po latach 5 następuje bądź rozwód, bądź ślub na dalsze lat 5 znów z tą samą klauzulą. Po latach 15 małżeństwo nie może uzyskać rozwodu.

Projekt wzmiankowany jest jednym z charakterystycznym objawów nawrotu do zasady nierozerwalności małżeństwa, jako jedynej formy przeciw rozstrojowi obyczajowemu.

MĘŻOWIE ANGIELSCY SAMI BIORĄ SIĘ DO GOTOWANIA OBIADÓW

Chodzi tu jednak o „mężów" w dawnem znaczeniu, z którego wziął źródło przymiotnik „mężny", mianowicie o mężczyzn nieżonatych, którzy z całym stoicyzmem wolą skazywać się na przewlekłe choroby żołądka wskutek jedzenia restauracyjnego, niż zdobyć się na włożenie głowy w „jarzmo małżeńskie". Lekarze angielscy twierdzą, że 90 proc. kawalerów zawdzięcza brak zdrowia restauracyjnemu pożywieniu. Londyn założył zatem szkołę gotowania dla mężczyzn. Nauka trwa rok, poczem odbywa się egzamin teoretyczny i praktyczny. Egzaminują doświadczone gospodynie. Trzeba tu dodać nawiasem, że utrzymywanie kucharki w Londynie, to zbytek, na który pozwalają sobie tylko domy zamożne.

Panna jak zegarek

Pewien dowcipniś porównuje kobiety, a zwłaszcza panny, z różnymi zegarkami, jak naprzykład: Młode panny są podobne do starych zegarków — zawsze się spieszą. Próżne panny są jak zegarki kieszonkowe — łatwo można je naciągnąć. Strojne panny są jak zegary wieżowe — patrzy się na nie, lecz ktoby je chciał wziąć do domu! Ładne panny bez rozumu są jak zegarki zabawkowe i rychło się sprzykrzą. Wścibskie panny są jak budziki — słucha się ich ale niechętnie. Znarowione panny są jak zegary słoneczne — pod czepcem nic nie warte. Skromne panny są jak zegary repetujące, słyszy się tylko na wezwanie. Pretensjonalne panny są jak zegary zastawione — odstawia się je. Modne panny są jak zegary cylindrowe, bardzo płytkie. Bogate panny są jak złote zegarki — wszystko się pyta, ile warta. Uczone panny są jak zegary ścienne — bardzo trudno je nosić. Gospodarne panny są jak zegary wahadłowe — idą najpewniej.

Kartki z humoru



— No, co ci jest, mały? Czy nie ładne to wszystko, co ci przyniósł święty Mikołaj?

— Ładne tatusiu! Ale czy nie uważasz, że to wcale głupio wygląda, żeby tyle wszystkiego podarował mi nieznajomy, a ty nic...



— Proszę mi dać befsztyk.

— Panie Kon, a czy z cebulką?

— A co pan myślał, że ze storczykami?



— Żeby pan doktór wiedział, w jakim jestem stanie. Wątroba mnie boli, żołądek mnie pali, nogi mi popuchły, w gardle mi wysucha i sam jakoś się czuję niewyraźnie.



— Proszę pana, możeby pan tam poszedł, bo ogrodnik jak się urżnął po Pasterce, to się dostał do salonu i strzyże dywany maszyną od trawników...



— Co się też mogło przyczynić, żeby Pan takich lat dożył?

Bo się urodziłem przed odkryciem mikrobów.



Boże Narodzenie w Moskwie.

— Nie wiesz, Moryc, czego te dzwony tak biją?

— To głupstwo! To sobie jakieś tam święto kolonji rosyjskiej.

PRZY KOMINKU

Wyjątek dziś czyniąc przyjętemu zwyczajowi pisania o grafomanach w rubryce „z biurka redakcyjnego“, przytoczymy anegdotę o niejakim Mollu, którego dotkliwa kara za trwonienie atramentu i papieru publicznie spotkała i despektem na całe życie okryła.

Wspomniany Moll, gryziony — jeśli można się wyrazić — przez złośliwego mola natchnienia poetyckiego, popełniwszy przekład „Berenice“, Racine'a pośpieszył zanieść tomik na większą „asamblę“ towarzyską i dumnie pokazywać go znajomym.

Nieszczęście jednak chciało, iż znajdował się wśród zebranych znany ze swego jadowitego dowcipu Antoni Gorecki, który, nieznacznie przejąwszy tomik do ręki, napisał na okładce cięty ten czterowiersz:

„Taka losów ludzkich dola,
Nie uniknie nic zniszczenia!
Mimo wieków uwielbienia
Znalazł Rasyn swego mola“

Oczywista, że każdemu wpadł w oko ten anonimowy docinek, ba, zapamiętano go sobie nawet z największą dokładnością i nazajutrz pół Litwy opowiadało anegdotę o grafomanie — Molu.

•

Niejednokrotnie anonimowy taki epigramat, jakie ongiś lubiono komponować przy każdej okazji, przykrość sprawiał niezasłużoną ofierze złośliwego żartu. Boć los ten wszakże jest udziałem każdego, co pada ofiarą anonimu, tem dokuczliwszego, iż komponowany w łatwej formie i publicznie ogłaszany, okolice całe obiega z chyżością błyskawicy.

Weźmy, naprzykład, wypadek z niejakim poczciwym kapłanem wileńskim, ks. kanonikiem Zienkowiczem, co, w najlepszej wierze, kazał był wymalować na pięknie odnowionej swej kamienicy: „Dom K. Zienkowicza“ i znalazł w kilka minut po wywieszeniu tej tablicy, następujący anonimowy dopisek:

„Co to K. znaczy?
Czy kpa czy kanonika
Należy do czytelnika,
Niech sobie wytłumaczy“.

I za cóż taka złośliwość? A kilku minut wystarczyło, by całe miasto z lubością rozpowiadało sobie, bezsensowny zresztą ten epigramat...

•

Kilkakrotnie wspominaliśmy już o pełnym „a propos“ dowcipie znanego poety Karpińskiego, który z każdej, najtrudniejszej nawet sytuacji znajdował wyjście.

Anegdota, którą tu powtórzymy, nie świadczy wprawdzie o pohopności poety do załatwiania pewnych spraw na drodze honorowej, ani o wytworności manier w niektórych towarzystwach— ale trudno, każdy czas ma swoją charakterystykę, a w okresie tym właśnie, bardziej niż kiedykolwiek, panowało zupełne pomieszanie pojęć i obyczajów. Odbijało się to nawet na zewnętrznych cechach towarzyskich, jak przez rywalizację pomiędzy żupanem a frakiem, butami a pończoszkami, błahym symbolem dwóch różnych światopoglądów.

Wypadek, o którym mowa miał miejsce na balu u Prozorów. Wśród zwartego koła gości, przyglądających się pląsom na środku sali, stał również i Karpiński, rzadki wyjątek czyniąc „racymorowemi“ krótkiemi spodeńkami i „menszestrowym“ frakiem od ogólnie jeszcze noszonego na Litwie staropolskiego stroju. A że wielkie w niektórych sferach panowało wzburzenie przeciw dworowi i jego polityce, a przez to i przeciw „polskim cudzoziemcom“, jeden z młodych ludzi, parobkowatych snać manier własnego chowu, podszedł do Karpińskiego i, ni stąd, ni zowąd, plunął mu w oczy.

Niemały uczynił się tumult, zachęcano Karpińskiego do odwetu, głośno wyrażając oburzenie za tak wielkie grubijaństwo, poeta jednak najspokojniej twarz sobie otarł i wyrzekł dobitnie:

— Co tam, panowie, lepiej wszak w oczy, niżli za oczy...

•

Znanym był swojego czasu na Litwie pan możnego domu, Karol Czapski, który obok niepospolitych zalet towarzyskich i społecznych, był jednak wielkim dystraktem. „Wsypy“ jego były tak klasyczne, iż cały kraj o nich szeroko opowiadał, ale jeśli się i pośmiewano, to nigdy ze złą intencją, Czapskiego bowiem szanowano i ceniono, jako wzorowego obywatela.

Zdarzyło się pewnego razu, iż zaprosił był Czapski liczne grono osób na wystawne przyjęcie, na którem główną osobą miał być gubernator miński, hrabia Ignatjew.

Oczywista więc, że gdy wszyscy się byli pozchodzili, jedynego zaś grafa jeszcze nie było, nikt się nie zdziwił, iż gospodarz sam wybrał się do pałacu gubernatorskiego, celem stwierdzenia przyczyny tego opóźnienia. Boć, mówiąc nawiasem, biedny Czapski... zapomniał, poprostu, zaprosić Ignatjewa.

Rusza więc czemprędzej, a gdy na miejsce przybywa, trafia na moment, iż gubernator ze świtą zasiada do stołu.

Zaproszony na obiad, siada Czapski z innymi, zapomniawszy po co przyjechał. Dziwnem zachowaniem się podczas biesiady zwraca powszechną uwagę, widać, że z trudnością poskramia niewytłumaczone wzburzenie — aż wreszcie, przekonany, że to jego obiad, zwraca się do Ignatjewa:

— Daruj mi, panie generale, bo umieram ze wstydu, iż kucharz mój tak haniebnie spaskudził obiad, że nic poprostu do ust wziąć nie można było.

•

Innym znów razem, Karol Czapski, usilnie zabiegając o pewną, zawiłą sprawę, wybrał się był do Petersburga, by rzecz całą przed samym ministrem wyłożyć.

Na oznaczoną godzinę przybył więc do pałacu paradnie odziany w niewygodny mundur dworski i ogromne, jak wówczas noszono, botforty. Minister go przyjmuje, sadza obok siebie i wysłuchuje długiej mowy Czapskiego, który, jak to zwykle czynił, wykłada całą rzecz z niebywałem przejęciem, zapominając o całym świecie bożym. W pewnym więc momencie, machinalnie sięga po chustkę ministra, którą spostrzegł na stoliku, nos wyciera i, nie wiedząc gdzie podziać, wtyka za cholewę. Uprzedzony o dystrakcji Czapskiego minister nieznacznie wzywa kamerdynera i każe sobie podać nową chustkę. Sześć razy powtarzał się ten niewymowny proceder, sześć chustek znikło jedna za drugą w cholewie Czapskiego, aż do łez rozśmieszony minister zakończył wreszcie rozmowę, przychylnie rozstrzygając sprawę petenta.

PIOTR BONARDI. *Opowieść autentyczna*

Saetta

— Zia Palma, czy idziecie na Pasterkę? — zapytują od progu trzy młode dziewczyny, ubrane jak jedna na czarno, z „faldettą“, okalającą ich piękne poważne oblicza, o ciemnych oczach i jakby zgasłym uśmiechu.

Zia Palma jest starą kobietą. Wiele już dźwigała boleści na swych pochylonych barkach. Mała, pomarszczona, ale bez cienia jakiejkolwiek uniżoności. Pali ją żądza zemsty. Po trzy razy musiała już odśpiewać ponure pieśni żałoby nad ciałem ukochanego dziecka. Po trzy razy już przydźwigano do domu jej na noszach z gałęzi ciało z jej ciał, zbabrane błotem i krwią.

Mąż, syn, zięć. Wszyscy padli od kuli strasznego Saetta. Cóż jednak dziwnego w tych tragicznych wypadkach? W każdej wiosce korsykańskiej — dwie, cztery, sześć rodzin są w stanie „vendetty“. O co?

Różne bywają przyczyny. Często wywołane są przez byle jaką błahostkę, kiedyindziej chodzi o kobiety. Spory graniczne; szkoda, którą poczyniła koza w ogrodzie; nieostrożne odezwanie się przy kartach; odrzucone umizgi miłosne... Błahostki! Vendetta spada na rodziny, gdyby piorun na drzewa lub fala morska, co wywraca łódź rybacką. Huragan nie szczędzi ofiar. Vendetta również. Na ślepo, czasem w to, czasem w inne domostwo... A przyczyna? Może, to fatalność, na którą winę składali starożytni!

•

Zia Palma nie wybiera się na Pasterkę, lecz zato, zwracając się do swej wnuczki, miłej Vaniny, zachęca ją:

— Pójdź, dziecko, pójdź z twemi towarzyszkami i pomódl się za spokój ich dusz.

Z pięknej rodziny, której życie dała Zia Palma, jedna jej pozostaje Vanina. Oto trzy pełoni, przeszyte kulami i trzy fuzje, które nie zdołały dosięgnąć zabójcy, oto trzy sztylety. Jeden z nich tylko zaznał roskoszy krwi ludzkiej. Zmarło się dziadowi, a za nim poszedł ojciec, stryj i biedna matka, porażona boleścią. Jedna starucha oparła się śmierci, bo nie chce umrzeć, dopóki nie zostanie pomszczoną. Vanina jeszcze pozostała, bo młoda. A przecież...

Bo przecież Vaninie naniesiono najstraszniejszą ranę. Krwawy zbój, którego chłopi nazywają Saetta — piorun — Saetta, ten nieuchwytny bandyta, był jeszcze przed dwoma laty najukochańszem dzieckiem Zia Palmy i obu jej synów. Saetta był narzeczonym miłej Vaniny.

Aż oto, pewnego dnia, brat Saetta wszczął głupią kłótnię przy kartach ze stryjem Vaniny. Pchnięcie sztyletem... i już po wszystkiem. Brat Saetta zginął, a zabójca ukrył się w lasach.

I wówczas narzeczony splunął na próg domu, w którym doznawał tak goracego przyjęcia i poddał się srogiemu obyczajowi Vendetty. Pomścić brata, zgładzić wszystkich mężczyzn z rodu, z którego wywodził się zabójca, stało się jedynym celem jego życia. Bezapelacyjnem jest straszne to prawo obyczajowe. Niema tu miejsca na próżne rozmowy. Za krew żąda się krwi, krwi wszystkich męskich potomków nienawistnego rodu.

•

Nie czuje się na siłach Vanina opuścić babkę w tę noc, gdzie wszędzie rozbrzmiewa wesele. Nie pójdzie na radosny obchód Bożego Narodzenia.

Zia Palma jednak dalej nalega:

— Idź, dziecino, idź pomodlić się z twojemi towarzyszkami.

— Ale i z wami, Zia Palma — nieopatrznie wyrwało się jednej z dziewcząt.

— Dlaczego?

— Bo Saetta jest we wsi.

Głucha cisza. Saetta! Staruszka wstała. Wzrok jej groźne skierował zapytanie w stronę broni zabitych. Czy aby podołają jej stare ramiona, czy aby służyć jej będą te sterane oczy, co tyle łez wylały?

— Po co tu przyszedł?

— Szuka nowej zemsty. Powiadają, że Chadone szpiegował za nim: on zabić chce Chadone.

Nic już nie mówi Zia Palma. Czule objęła ukochaną swą Vaninę, a oczy wciąż błądzą w kierunku broni zabitych.

Odeszły więc dziewczęta ku wsi, w poszukiwaniu towarzyszek, aby tem liczniejszą gromadą pobożne wznieść pieśni w drodze do kościoła.

Nikt dziś nie zaśnie w domostwach. Migocąc w rękach mężczyzn, latarki, jakgdyby przyjaźnie mrugały mirjadom gwiazd, rozsianych wśród tej boskiej nocy... Odprowadziłyśmy królów do stajenki. Przyświecać będziemy przygotowaniom do świętych godów....

Tu grupa chłopców. Tam grupa dziewcząt. Nie łączą się ze sobą. Każdy idzie swoją drogą. Głosy rozbrzmiewają w pieśni, raz męskie, raz cienkie dyskanty dziewcząt. Cicha, bezśnieżna noc wigilijna. Czarowny urok właściwy krajom, co leżą nad morzem Śródziemnem.

Chłopcy w jedną stronę, dziewczęta w drugą i obie grupy rozejdą się w nawie kościelnej, jedna na prawo, druga na lewo. Nie znają Korsykanie czułych umizgów i słodkich słówek.

•

Usiadła Zia Palma i ręce kurczowo splotła na kolanach, kiwa biedną, skołataną głową i powtarza bez przerwy:

— Nie, Nie pójdę na Pasterkę. Nie pójdę na Pasterkę...

Zerwała się raptownie.

Zerwała się i podąża w kierunku, gdzie widnieją krwawe pamiatki i krzyczy w nagłem zapamietaniu:

— A jednak i ja będę miała ucztę!

— Masz — mówi, rzucając palone Vaninie. — Nakryj do stołu. — Rozłóż, żeby widać było krew.

Chwyta za fuzje.

— Oto świecznik...

I wciąż się kreci, jakgdyby czemś jeszcze chciała dopełnić ponure te przygotowania.

Vaniną wstrzasają dreszcze. — Wzniosła oczy ku niebu i szepce:

— O Boże, przebacz jej! Zmiłuj się nad nią. O Jezusie nowonarodzony, wstaw się za nią, boć przecież i ona była dobra.

Wtem drzwi się rozwarły i weszła jakaś kobieta, głośno zawodząc od progu:

— Zia Palma, Zia Palma, córeczka moja kona. To zły urok jakiś. Wszyscy odeszli na Pasterkę. — Chodźcie, ratujcie mi moją dziecinę. _

Zapuściła więc Zia Palma faldettę na oczy — zapomniała o wszystkiem i bez słowa znikła wśród nocy.

*

Vanina jest sama. Nareszcie może się wypłakać. Może dać upust boleści, co jej rozpierało serce. Jakżeby mogła zwierzyć się babce, że nie tylko opłakuje zmarłych. Vanina płacze nad własnym losem. Łzy roni nad umęczoną swoją miłością.

Oto widzi dorodnego swego narzeczonego, Antonia, którego nikt jeszcze nie nazywał Saetta. Oto wspomina o pięknych spacerach wśród gór, zabawy na piasku nadmorskim, wycieczki wgłąb tajemniczych lasów. I oto wracają wzdłuż ścieżyn, skąpanych cudną wonią kwiatów. Nigdy nie zaznali czułego osamotnienia, lecz wśród tłumów nawet, proste ich serca umiały dojrzeć piękno horyzontów, które się przed nimi otworzą. Jakże było dobrze...

Dzwony! O tej porze, co wieczór, życzył jej dobrej nocy na tym samym progu, gdzie go żegnała, odchodzącego wśród nocy. A głos jego jeszcze zdaleka rozlegał się gromko — dobra noc, ukochana, dobra noc. — Co wieczór... lecz co to?

Na progu ujrzała Saetta — bandytę, tego co był jej narzeczonym.

Stoi na progu, stoi przed domem, który okrył tak ciężką żałobą. Jest! Zbój! Ukochany! Stoi przed nią, ten sam, dorodny, o bystrym wzroku i pięknej postawie.

— Vanina!

— Ty? Czego chcesz? Po coś przyszedł?

— Przechodziłem. Musiałem zajść, chciałem cię zobaczyć. A gdzie babka?

— Poszła do Naraty... poszła odrzekać dziecko... Idź precz!

— Chciałem cię zobaczyć, moja ty Vanino, chciałem ci powiedzieć, jak strasznie cierpię... i jak ciebie kocham.

Przemawia i mimowoli odpowiada mu Vanina. Czuje dobrze, że więcej w jej sercu miłości, niż nienawiści. A on.. on zabił, bo tak chciało prawo i nie wolno z pod niego się wyłamywać, nie wolno stchórzyć przed Vendettą.

Dzwony! Głos ich roznosi się po górach, pokrywając je jakgdyby całunem harmonji i miłosierdzia. Boć to nastała godzina, gdy wszystko się uśmierza pod wpływem Słowa Bożego, które zawsze głosiło o przebaczeniu.

Oto za kilka chwil zasiądą wszyscy wokół komina i gwarzyć będą, powtarzając sobie odwieczne podania święte i bajki o czarownicach i dobrych wróżkach. Rozlegią się za chwilę kantyki i kołysanki, „nanni i lamenti". Zasiądą potem do uczty. Zakłuto wieprze. „Ficatelli" okraszą gęstą „polentę". A tarte kasztany lub takie, co odrazu się piecze i zajada, gorące.

Piękne to były wigilje. Piękne to były czasy, gdy tak się kochali...

I mówi mu:

— Już pójdź! Już pójdź! Wnet babka powróci... Idź precz! Nie mogę patrzeć na ciebie...

Lecz jednocześnie pragnie najgoręcej, by urok jej oczu przykuł go do miejsca. Bo widzi, że nie jest już na progu, a zwolna, krok za krokiem wchodzi do domostwa. Oto stoją przed kominem. I pokazuje mu ponure przygotowania babki.

— Patrz, oto jej uczta, oto obrus, świecznik...

Opuścił głowę nieborak i z ust wyrywa mu się bluźnierstwo:

— Już nie wierzę w Vendettę.

Biedne dzieci! Czas nie uszanuje waszego bolesnego szczęścia. Czas nie lituje się nad waszą tęsknotą. Saetta wciąż jeszcze stoi przed ukochaną, gdy wtem wchodzi Zia Palma.

— A...

Lwica rozjuszona! Wróg! Wróg przyszedł!

I jednym susem rzuca się ku niemu ze sztyletem.

Saetta, ten śmiały bandyta, ten zuchwalec, co siłą wszystkim imponuje, Saetta, którego imię znaczy piorun, bez trudu paruje uderzenie i broń bezsilnie wypada z ręki staruchy.

Gdzie fuzja? Biegnie z nową bronią stara, zmierza się — już ma strzelić. A! Zbrodniarz! Tu go ma, tu, na końcu muszki! Zemsta! Nie umrze, by nie pomścić krzywdy! A Saetta stoi przed nią niewzruszony...

Ale cóż to? Vanina!

A Vanina ciałem swem zasłania bandytę i krzyczy z całych sił:

— Nie tu, babuniu, nie w domu!

— Odejdź!

— Nie! Nie! On jest u ciebie, on sam tu przyszedł, bez przymusu: nie zbezcześcisz przecież naszego domu.

— Odejdź!

To Saetta odsunął ukochaną i pierś odsłania przed Zia Palmą. — Gotów jest. Sam sobie obmierzł. On pragnie śmierci. Vanina upadła na kolana.

Starucha wciąż mierzy, ale broń drży w jej ręku, lufa opada, fuzja wymyka się z dłoni i dwie ciężkie łzy spływają wzdłuż boleśnie pomarszczonych policzków.

— U mnie jesteś. Nie mogę cię zabić. Nie mam prawa. Idź precz. Zemsta moja wszędzie cię odnajdzie.

Rozwarła drzwi.

— Idź precz! Przeklęty!

Ale wtem, nadstawiła ucha, drzwi szybko zawiera, zastawia sztabą...

— Żandarmi!

Saetta wciąż stoi, niewzruszony. Spojrzał na fuzję, nieznacznie zasunął sztylet za rękaw.

— Okno — szepce Vanina.

— Nie — przeczy Zia Palma. — Mógłby się skaleczyć. Niech schowa się w sypialni.

— Co znaczy?

Nie znosi, żeby nie spełniono jej rozkazu.

— No, dalej! Właź i siedź tam cicho...

Posłuchał się. Żandarmi kołaczą. Stara otwiera.

Opowiadają, że cały czas tropią nieuchwytnego zuchwalca i obawiają się, by czasem tu nie przyszedł, by jaką zbrodnię popełnić. Ani na chwilę nie przypuszczają, by coś mogło łączyć starą z bandytą i uspokojeni — odchodzą.

Przywołuje Saetta. Staje przed nią oszołomiony tą zimną krwią, tem rzadkiem opanowaniem.

— O Zia Palma! Wspaniałomyślność twa gorzej mnie karze od śmierci. Nadzwyczajna jesteś, babuniu!

A stara mu przerywa. Długo przemawia, długo i dobitnie, bo nie chce, żeby czasem inaczej nie zrozumiał.

— Nie myśl zuchwalcze, żebym się uniosła wspaniałomyślnością... Vendetta. Stałeś mi się wrogiem, a tembardziej cię teraz nienawidzę, że los cię ustrzegł od śmierci. Nie mogłam cię zabić, tu, w moim domu, nie mogłam cię wydać — ale nie znaczy to, żeby wszystko się skończyło. Idź precz! Jeśli nie wydałam cię żandarmom, to zrozum, że dlatego, że wszystko skończone dla ciebie z władzą. Nie im, a mnie podlegasz, mnie tylko i mojej zemście. Precz!

Więc jeszcze raz ogląda się nieborak...

— Adio — szepcze — żegnaj mi, Vanino.

HIPEK I FIPEK

BAJKA SWIĄTECZNA

Noc wigilijna. Pierwsza rano.

Rzecz dzieje się na pierwszem piętrze pięknego domu u państwa Durand. W dziecinnym pokoju śpią Lili, Zezetka i Riri.

Starszych niema w domu. Są u znajomych, a służba dawno śpi.

Lili (8 lat), Zezetka (7 lat), Riri (6 lat) wystawili przed kominkiem pantofelki i pięknie śnią w łóżeczkach.

Hipek i Fipek, złodziejaszkowie, ostrożnie zakradają się do pokoju. Przyświecają sobie ślepą latarką i cicho, bez szumu, odbywają oględziny pokoju.

HIPEK. — Patrz, bracie, bębny!... A galante jakie! Patrz jakie szelmy ładne.

FIPEK. — A prawda, jakie ci kławe z temi kudłami złotemi...

HIPEK. — Wiesz, bracie, co ci powiem? Kiedy na to patrzę, to widzę dopiero, jakem spaskudził życie... Powinienem był też jaką babę wziąć... Bo mam ci, bracie, pociąg do ojcostwa.

FIPEK. — A wiesz, że prawda, jak Boga kocham. Taki sam jestem, jak ty. Albo, może, to ty jesteś, jak ja... Albo to obaj jesteśmy, jak jedno...

Sumiennie pracują Hipek i Fipek i wnet zdążyli zawinąć do tłomoka parę cennych obrazków ze ściany. Już dodali nawet i trochę ubrania z szafy.

Jeszcze trochę — bo tam, w gablotce, jest kilka „mądrych" cacek.

Ale wtem, Hipek, a może Fipek, potrącił jakieś krzesło. Upadło z hałasem.

HIPEK, *po cichu*. — A to ci granda! Choroba, psiakrew...

FIPEK, *tym samym tonem*. — A niech cię nie znam, psiakrew...

Kilka chwil przechodzi.

Hipek i Fipek boją się poruszyć, aż oddech im zamarł w piersi.

LILI, *na pół obudzona hałasem*.— To ty, mamusiu?

ZEZETKA. — To ty, tatusiu?

RIZI. — To Fraulein?

Jeszcze kilka chwil.

Hipek daremnie stara się schować za fotelem; Fipek szuka schronienia za kotarą.

HIPEK, *szeptem*. — Niechby tylko zasnęły, parszywe bębny... A to ci los!...

FIPEK, *szeptem*. — Niema co gadać, to żeśmy wpadli! Co tu robić?..

Niestety, żadne z dzieci nie bardzo chce zasnąć. A nawet już słychać, jak grzebią się w łóżeczkach.

Jeszcze chwila, a wszystkie odwrócą się i zobaczą, co się święci.

HIPEK, *radośnie, jakgdyby wpadł na znakomity pomysł*. — Nie, nie dzieciaczki wy moje. To nie tatuś, to nie mama, to nie bona... Słuchajcie, smarkule, to Dziaduś Wigilijny do was przyszedł.

LILI, ZEZETKA I RIZI, *z zachwytem*. — Dziaduś Wi...?

HIPEK, *uroczyście*. — Klawo, brzdące, co? Dziaduś Wigilijny! Sam Dziaduś, a z nim św. Mikołaj... Ale nie odwracajcie się, bo Dziaduś nie każe... Nie chce, żebyście go widziały, bo chciał wam zrobić niespodziankę. Nie odwrócicie się, dobra?... No to byczo... *(Szeptem do Fipka)*. A ty się uwijaj, galopa, wal, bracie, co tylko się da i już nas niema... *(Ładuje z gablotki 2 szkatułki srebrne. Uroczyście prawi dalej)*. Te, święty Mikołaj, a gibaj-że tutaj z temi chodakami... bo jak ci obiecały, że się nie odwrócą, to trzeba im mądrze podziękować. Trzymaj — dwa pudła kasztanów w cukrze po 10 kilo...

FIPEK, *również uroczyście, wsuwając do kieszeni piękny wazon kryształowy i dwa świeczniki srebrne*. — Słuchajcie-no, Dziaduniu, a czy można im dać do drugiego chodaka po pułku żołnierzyków, po samochodzie, po pięć książek ze złotemi kantami i po balonie sterowym?...

HIPEK, *ładując zegar podróżny, tackę i szkatułkę z kości słoniowej*. — Wal, bracie! Wal, święty Mikołaju. Pozwalam ci, bo przecież były grzeczne cały rok. Wybierz nawet, co masz najpiękniejszego ze swoich żołnierzy, najszybsze auto, jak można więcej złocone książki i najlepsze balony... *(Stwierdzając, że nic już nie zostało w gablotce)*. Gotowe, co? To wiejemy dalej, święty ty mój Mikołaju. Jeżeli wszystko im damy, to nic się dla innych dzieci w tym domu nie zostanie!

Ładują na plecy tłomoki i kierują się ku wyjściu.

LILI, ZEZETKA i RIRI, *nie odwracając się, bo im Ddziaduś nie kazał, klaszczą w dłonie, żegnając kompanów*. — Dziękujemy, Dziadusiu! Dziękujemy, święty Mikołaju! Dziękujemy!

Max i Alex Fisher.

Rozmowa

Cóż z tego, że płakałaś? Może płakałem i ja, choć o tem nikt nie wiedział. Cóż z tego, że porwane zostały w strzępy twoje dziewczęce wierzenia?

Że boli mię twój płacz, że sercem mojem targa twój żal za tem, co mogło być i mogło być piękne, a nie było — to i cóż?

Dlaczego? Ha! Moja droga! — może dlatego, że łzy odbierają siły. Łzy zawsze zostawiają ślad na twarzy i na duszy. Życie krótkie. Roztkliwiać się — czasu nie ma. Człowiek jest samolubem. Jest nim nawet wtedy, gdy poświęca się dla drugiego.

Samolubem jesteś — gdy płaczesz. Samolubem jestem i ja, gdy pytam: Cóż z tego, że widzę twoje łzy, wszak i ja płakałem?

Życie jest krótkie. A pracy jest wiele. Bardzo wiele. Nie wydrży człowiek — bo wszystkiego dokonał. I chleb codzienny trzeba mieć, i w gmach ludzkości choć jedną cegiełkę ze swojem nazwiskiem wbudować.

Mówisz — że wszystko to można dokonać bez porwania w strzępy marzeń i snów? że można wielkiem kochaniem zawody życia osłodzić? Osładzać ból — pewnie, że można, a łamać przeszkód tkliwością nie potrafił jeszcze nikt. Tam trzeba zaciśniętej pięści, zaciśniętych zębów, serca zamkniętego na kłódkę — by nie wejrzał do niego nikt.

Życie łamie marzenia, które śnił ten, który życia nie znał. Życie nie jest romansem.

Cicho... Nie mów nic, że życie twe złamane, a ja nawet ce-
życie twe złamane, a ja nawet cegiełki mojej jednej z imieniem mem w ludzkości gmach nie wbudowałem. Nie mów nic, że zmarnowałem życie własne. Wtedy byłby koniec żywota, który romansem nie był wcale.

Mówisz, że granie, pieśni, słowo, sen, kochane dłonie mogą wiele? że dają siły, wiarę, ufność? że może swoją część już zdołałbym zbudować, gdybym do twoich nie dopuścił łez? Może by wtedy i moich łez nie było?

Obejmują mię twoje serdeczne ramiona, podnosisz ku mnie swe oczy, pełne łez, i zapewniasz cichociehutko: „To ja, twój dawny sen o szczęściu. Jestem przy tobie tu, blisko..."

W. Borakowski

Semi-ko

(ŚWIERSZCZYK)

Koło ojcowej świątyni w pośrodku powyginanych sosen, było tyle śpiewnych i świerszczących owadów, że nazwano ją „Semi-ko", czyli świerszczyk.

Córeczką była kapłana, najmłodszą z czternaściorga dzieci. Chowała się w tej czeredce i ćwirkała wesoło, jak owady — towarzysze, których imię nosiła. Beztroskiem bowiem było jej życie — ryżu nie brakło w porcelanowych miseczkach, a i smakowitych rybek także. Kąpano ją codzień i czesano wymyślnie sploty jej kruczych, gęstych włosów.

W święto i „kurumą *) czasem się przejechała do pobliskiego kina, w którem jakieś zamorskie pokazywano dziwy.

Tak rosła Semi-ko, niepomna swej urody (bo o tem w rodzinie nie było mowy), dbała o przystrojenie ołtarzy i chwałę Boga, myśląc, jak usłużną być dla starszero rodzeństwa, posłuszną matce, a ojca zbytkami nie nękać, wtedy, gdy śpiewał jednostajnie swe modlitwy. A gdy pogrzeb jaki się zdarzył lub wesele, no... to wtedy podarkom nie było już końca, gdyż Semi-ko szczebiotliwa, ukochanem była dzieckiem bogobojnego rodzica.

Tymczasem syn najstarszy w studenckiej już chodził czapce i o Ameryce marzył, zaś siostrę za mąż wydawać miano za kupca, nieodpowiednio dla córki kapłana, cóż kiedy tak dużo dzieci!... trudna rada!...

Semi-ko wciąż jeszcze wolna, jak ptak, splatała i rozplatała warkocze, łapała motyle, ze złotemi rybkami igrała w maleńkiej sadzawce i pieśni śpiewała długie, żałosne o... jakimś żórawiu.

Aż dziwne, bo właściwie nigdy żórawia nie widziała, a tak bardzo w upalne noce tęsniła, że aż wysuwała się cichutko z rodzinnego domu, by zginąć w cieniu drzew olbrzymów, strażników, okalających poważnie miejsce święte.

Raz — a było to późną jesienią, idąc tak, zabłądziła w lesie i nagle znalazła się nad wodą. Jakieś czółno podpłynęło i wyszła z niego stara bardzo kobieta. Rozkazała Semiko iść za sobą. Spłoszona dziewczynka, lecz przywykła do ślepego posłuszeństwa, uległa. Aż doszły obie do starych grobów, gdzie urny z kościami przodków się przechowywały.

Stara palcem wskazała na wieko jednej z nich, zczerniałych od starości i rzekła:

— Tu pochowany jest mój wnuk wraz z prochem prarodziców...

Semi-ko rękawem kimona zakryła wystraszone oczy, a stara prawiła dalej:

— Sama jestem na świecie i szukałam daremno, komu przekazać imię i majątek, widziałam cię podczas całopalenia i wybrałam za towarzyszkę mej samotności.

Semi-ko zrobiła krok w tył, ażeby uciec od tego dziwnego głosu, co nowy los jej wieścił, lecz stara schwyciła ją za rękę mocno, kościstemi palcami i posadziła do czółna.

O świcie znalazły się obie w przepysznym domu, lecz tak samotnym, jak ów żóraw, o którym Semi-ko pieśni tkliwe nuciła.

•

Kapłan, po dłuższem wahaniu, zgodził się na oddanie córki, choć matka co noc zalewała łzami twarde wezgłowie **).

Dom starej wiedźmy był duży i wspaniały, lecz tak pusty i zimny, jak jego właścicielka. Ta, gderliwym głosem napędzała Semi-ko do książki, do roboty i nauki, nigdy nie pozwalając jej śpiewać.

Aż kiedyś, późnym słotnym wieczorem, Semi-ko wracała ze szkoły pośpiesznie do domu. Wysokie słoneczniki — chodaki grzęzły w oślizgłem błocie, jak w masie z „siruko ***). Wzorzysty, papierowy parasol, kręcił się na wietrze, a oczy znużone, ciągłem ślęczeniem nad książką, mrużyły się sennie.

Potknęła się dziewczynka, gdy czyjeś mocne ręce pomogły jej i uniosły ponad kałużę. Wprawdzie stołeczki obsunęły się i spadły, lecz za chwilę już siedziała na jakimś kamieniu, a młody wybawca pomagał jej z powrotem włożyć ciężkie „geta".

Spłoniona i zawstydzona, dziękowała, nie śmiejąc podnieść oczu.

— Ja jestem skromnym człowiekiem, a panienka pewno z wielkiego domu — wyrzekł nieznajomy.

— Nazywam się Semi-ko — odpowiedziała — przybraną jestem córką starej Hakasami.

— Ja nie tutejszy, panienko, nie znam nikogo — tylkom oczy sobie wypatrzył, jak to panienka co dzień tą drogą chodzi.

— Do szkoły i ze szkoły — objaśniła Semi-ko.

— Tak, tak, szkoła jest dobrą, jak kto się w niej uczyć może... — westchnął w zamyśleniu.

Spojrzała na niego ciekawie.

— No tak — ciągnął dalej—mnie z mego wypędzono kraju, bo się uczyć tam nie mogłem...

Spojrzała po raz drugi, przerażona.

— A tak, ja z tej przeklętej krainy, gdzie w Boga przestali wierzyć, — ja Go jednak noszę w sercu i rozstać się z Nim nie mogę i nie chcę, — więc tu przyjechałem. Żórawiem - Samotnikiem zowią mnie tutejsi koledzy, u których garncarstwa się uczę...

— Żórawiem??

— No tak, żórawiem - samotnikiem... Zabawne, prawda?

— Nienie, tylko tak smutnie i tak prawdziwie...

— Jakto prawdziwie? Skąd panienka wie?

— A bo ja od dzieciństwa o żórawiu myślę.

Spojrzał na nią zdumiony, a ona w kwiat płomiennej piwonji się zamieniła i zabierała się do szybkiego odwrotu.

— O, poczekaj — zawołał pośpiesznie — nie bój się, ja ci coś chcę podarować.

I gwałtem wsunął jej do ręki jakiś zwitek.

Pobiegła zdyszana i dostała się do domu, gdzie u samotnego stolika czekała na nią groźna stara.

— Odkąd to, Semi-ko, po nocy się włóczysz?

— Wybacz, obasama ****) — egzamina...

— O tej porze?! Telefonowałam, dawno się już skończyły.

*) Mały, ciągniony przez szybkobiegacza, wózeczek japoński.

**) Poduszki japońskie zwane „makura" są twarde.

***) Masa z fasoli.

****) Opiekunko.

— Szaruga, drogi nie widać, wolno się idzie.

— A to co?

— Nie wiem.

Stara schwyciła tajemniczy zwitek i wypadły z niego dziwne jakieś malowidła, — wszystkie przedstawiały żórawia.

— To wnuk mój malował — krzyknęła stara Skąd to masz?...

— Dano mi...

— Kto?

— Jakiś samotny cudzoziemiec...

— Zabili go, zabili — jęczala stara — za szpiega go wzięli, ledwo kości wydostałam...

Przerażona Semiko myślała, że stara oszalała, lecz wiedźma, jakby do siebie, mówiła dalej:

— W kraju, gdzie niema Boga, zabili go, bo wciąż malował, a oni myśleli, że szpieguje...

Całą noc przesiedziała Semiko i jakieś dziwne majaki ją otaczały. Dowiedziała się, że wnuk jej opiekunki wyjechał był ongiś do zimnego kraju, gdyż malarzem był żądnym wrażeń i tam go zabito, a kości przywiózł samotny poeta, pielgrzym. A gdy stara dowiedziała się o wydarzeniu słotnego wieczoru, zacisnęła bezzębne wargi, szeptała coś, szeptała, a na drugi dzień oznajmiła dziewczynce, że nie czekając końca egzaminów, zabiera ją ze sobą do kraju górskiego jej dziadów, i że tutaj nigdy już nie powróci.

Semiko pakowała się i błagała starą, by raz jeszcze do szkoły i do rodziców pozwoliła jej pójść, lecz nie było można przeprzeć starczego uporu i zaciętości.

Z jakimś dziwnym nieznanym bólem w piersiach patrzyła Semiko na przygotowania do dalekiej podróży, gdy nagle... zaćwirkało coś w gałęziach ogrodu, zagrało, jakby ktoś po strunach maleńkich skrzypiec smyczkiem pociągnął żałośnie.

Semiko wśród listowia ujrzała towarzysza lat dziecinnych — świerszcza, grajka nad grajkami. Wzięła go, do serca przycisnęła i wsunęła w małą klateczkę; a wraz z pożywieniem na dni kilka, włożyła też mały zwitek z napisem:

„Semiko samotnemu żórawiowi".

Poczem powiesiła klatkę między gałęzie... Odjechała Semiko, łzami zalana w wysoki górski kraj.

A w kilka dni potem przechodził koło jej ogrodu garncarz. Samotny Żóraw, i usłyszawszy żałosny jęk świerszcza i spostrzegłszy klateczkę, otworzył ją i wypuścił owada. A gdy ten wylatywał, uwolniony, wypadł na ziemię zwitek maleńki z serdecznem, tajemniczem wyznaniem.

Podniósł go młodzieniec jak talizman mistyczny, umieścił w tej samej klatce i przyozdobił nią wejście do cichego warsztatu swej codziennej szarej pracy.

Co wiosnę zapraszał na czas pewien do klatki tej maleńkiej jakiegoś, dzwonnego świerszczyka złowionego w lesie. I tak jękliwe świerszczyk był mu druhem podczas długich letnich dni pracy, — daleką bajką nigdy niezaznanej miłości.

Stąd nazwali koledzy brzękliwego w klateczce owada — narzeczoną garncarza, a jego (Żórawia Samotnika) — oblubieńcem Semi.

A w górach dalekich umarła już dawno wiedźma stara, a wnuczka jej przybrana, piękna Semiko, za mąż wyszedłszy, dzieci swe usypiała w długie zimowe wieczory pieśnią... o „Samotnym Żórawiu".

Stefanowa Łubieńska.

KOLENDA

Hej! Zbierajcie się pasterze
Biec, gdzie jasna droga,
Sercem witać witać szczerze,
Ze śpiewkami z przygrywkam
Dzieciąteczko Boga!

Hej! Radujcie się ludziska
Tej świątecznej nocy!
Niech wam gwiazdka szczęściem błyska!
Od Dzieciątka, od Paniątka,
Czerpcie życia mocy!

Kiedy Pan Jezus przyszedł na ziemię...

Kiedy Pan Jezus przyszedł na ziemię,
Na smutny, nędzny świat, —
To był bielutki, jak śnieżny kwiat
Główkę malutką, główkę bledniutką
Na wonnym sianku kładł...

Kiedy Pan Jezus przyszedł do ludzi,
By zbyć ich grzechów, wad —
To odblask światła na śniegi padł...
I promień gwiazdy z niebieskiej jazdy
Wzruszeniem zbladł...

Kiedy Pan Jezus przyszedł na ziemię,
Tysiące temu lat...
Z ludźmi się zrównał, jakby ich brat;
Patrzył ze smutkiem oczkiem malutkiem
Na wielki, zimny świat...

JADWIGA KWIECIŃSKA.

Wśród pism i książek

Leopold Staff: UCHO IGIELNE, Warszawa, 1928. Nakładem Jakóba Mortkowicza „Pod Znakiem Poetów“, Serja nowa.

Poraz drugi w tak krótkim czasie mamy sposobność wyrażenia szczerego uznania wydawcy za wyjątkową i niezmordowaną jego działalność w drukowaniu wybitnych dzieł rodzimej poezji. Mimo ostrzeżeń, których z pewnością niejednokrotnie słucha, iż „poezja nie jest dziś artykułem księgarskim“, podziwialiśmy już 18 tomów pięknej serji „Pod znakiem poetów“, a staranne wykonanie graficzne i przedewszystkiem doskonały dobór utworów, wróży wydawcy dalsze ppowpodzenie.

Powszechnie ustalona opinja o Leopoldzie Staffie, jako o największym poecie doby współczesnej jest zresztą w danym wypadku najważniejszym argumentem, którego pozazdrościć mu mogą inne firmy, a zwłaszcza jeśli mowa o tak cennym zbiorze liryk, jakim jest „Ucho igielne“.

„Ucho igielne“, a więc ucho, przez które łatwiej jest przejść wielbłądowi, niźli bogaczowi przez bramę niebieską, jest niezmiernie trafnym dla tej książki tyułem.

Po długiej tułaczce na drodze życia, po uciążliwej walce ze wszelkiego rodzaju zwątpieniami, wytknął sobie wreszcie poeta linję, która go zawiedzie do Królestwo pokoju i miłości pod opiekuńczem skrzydłem Boga.

Trawy, któremi wiatr cicho kolebie,
Śmieją się ze mnie, wiedząca i zdrowe,
Żem wieczność w Tobie odpychał od siebie,
Jakbym chciał duszę swą skrócić o głowę.

Wszystko się śmieje ze mnie, że Twą chwałę
Pragnąc poniżyć, rozwiać w ulud dymie,
Pisałem z głupią pychą przez b małe
Wielkie, potężne Twoje Boga imię.

Szukałem ciebie w chmurach, na niebiosach
I na tej niskiej, pełnej grobow glebie
I dzisiaj widzę, w radosnych łez rosach,
Że Bóg był bliższy mnie, niż ja sam siebie.

I wiem to jedno, że gdy mnie ułożą
Na sen w eczysty, żmudnego pielgrzyma,
Natenczas ujrzę wieczną światłość Bożą
Zamkniętemi na wieki oczyma.

Piękny ten akord jest logicznym finałem do poprzednio śpiewanych przez poetę liryk, płynących z głębi szamocząscego się w walce Genjusza, którego dziś jednak żadne inne natchnienie zadowolnić nie potrafi, jak tylko jedyna prawda, zaklęta w tajemnicy nauki Chrystusowej i cicha pokora ducha.

..Jam jest Prawda, co w mroku najgłębszym [się chowa.
Niechaj odwieczna wasza modlitwa się ziści.
Jam jest, która zagadki nić z przęśli swej snowa.
Kto mnie wybierze, będzie, jako drzewo z liści
Odarte i przez śpiewne opuszczone ptactwo.
Próżen marnego zysku i błahej korzyści.
Kto pójdzie za mną, rzuci piękność i bogactwo.
Zaszczyty, cześć, ozdoby, stroje, pełne skrzynie
I obmierznie mu rozkosz i sława i władztwo.
O, pójdźcie co mnie, Prawdę, kochacie jedynie,
Nie pragnący nic nadło bym była wam Panią!
Wstąpcie w mą bezkorzystną, przeczystą świątynie

Bo jeśliś żebrak nawet i dadzą ci wszystko, czegokolwiek ciało zapragnąć może, to najsilniejszem w nas dążeniem jest wieczne pragnienie Pana, jakie widzi poeta na drodze życia, którą już przebył.

Aż Pan wyszedł sam zniecierpliwiony:
„Masz mnie, duszo, natrętnie oddana“...
I zamknąłem szczęsnemi zamiany
Niby w domu moim, mego pana.

Szczęśliwy poeto! Dobiłeś wreszcie do portu i śpiewać możesz w spokoju, którem dziś przepojone jest serce Twoje:

Wieczór po pracy chyli moje czoło,
Jak o zmierzchu wiew drzewa kołysze.
Dzięki ci, Panie, za ten smutek wkoło
I za tę wielką w swojem sercu ciszę.

— — — — — — — — — — — — —

Radość ma ciężka jest, jak bryły złomu
Skalnego, które człek znosi powoli
Z trudem, na mocną podwalinę domu,
By w nim zamieszkał z Tobą, po niewoli.

Na końcu tej pięknej książki, pod tytułem „In Memoriam“, czytamy epitafja, poświęcone tym wielkim, co nas już odeszli, Wyspiańskiemu, Kasprowiczowi i Żeromskiemu.

Zawarły się śpiżowe drzwi,
Zapadły wieczne wrota,
A śmieć, niszcząca żywot dnia
Zwiększyła skarb żywota.

Boy-Żeleński: PLOTKI, PLOTKI..., Warszawa 1928 r. Nakładem Instytutu Wydawniczego Bibljoteka Polska.

...— Sądzę, że w jakiejkolwiek formie i na jakiemkolwiek polu działania pozostanę ten sam i dlatego zawsze się będą odzywały echa owej pierwszej o mnie „recenzji“... W dniu, w którym głupcy przestaną wymyślać, pomyślą sobie, że źle jest ze mną.

Takiemi słowy zakończył świetny pisarz polski wywiad do naszej serji „Z mojej karjery“ (p. N. 37 z dn. 23 listopada r. b.), mając na myśli te różnorodne opinje, które stale towarzyszyły jego działalności na polu literatury.

W ciekawym tomie p. t. „Plotki, plotki...“, który wyszedł z druku, jako zbiór artykułów na różnorodne tematy, autor postawił tym razem krytykę w nader kłopotliwem położeniu. Bo jakże atakować w określonym kierunku, jakże nawet wypowiedzieć pochwałę, kiedy czytelnik zmuszony jest przejść za autorem od miodowego miesiąca Marji eLeszczyńskiej, przez romans Ninon de Lanclos, do rozpatrywania światopoglądu Conrada, przez „plotki językowe“ o patosie stylu i o prawidłach interpunkcji, do oryginalnej analizy o Mickiewiczu i Słowackim w opinji publicznej, przez wspomnienia wreszcie o „Zielonym baloniku“ i Cyganerji Krakowskiej, do gawęd o Balzaku...

W labiryncie tym odnajdujemy wysokie walory, które przebijają z każdego z artykułów, bo jakże mogłoby być inaczej, skoro widnieje na nich świetna faktura, jaką daje nazwisko Boya.

A jednak, skromnem zdaniem naszem, dla wielu względów nie należało skupiać w jednej książce tak mnogich i różnorodnych tematów, co w znacznej mierze utrudnia przedewszystkiem osiągnięcie jednolitego wrażenia.

Niezwykle płodna działalność pisarska Boya pozwoliłaby mu z pewnością na dodanie do każdego z poszczególnych typów artykułów dostatecznego materjału dla stworzenia kilku oddzielnych tomów: jeden z nich miałby, naprzykład, charakter historyczno - anegdotyczny, podobny do studjów, trzeci anegdotyczny i t. p.

Szkoda... wdzięczni bądźmy jednak i za to, większość bowiem rzeczy Boya wychodzi dziś wyłącznie na łamach jednego z organów prasy stołecznej, co w znacznym stopniu utrudnia należyte rozpowszechnienie wśród szerokich sfer czytelników.

MUZYKA POLSKA, monografja zbiorowa pod redakcją Mateusza Glińskiego, Warszawa, nakładem miesięcznika „Muzyka“.

Bodajbyśmy wszyscy mogli wydawać takie „specjalne numery“, jakim jest ta ciekawa i cenna monografja zbiorowa, wydana przez miesięcznik „Muzyka“. Bo „specjalny“ numer ten jest tylko o tyle, że w zwykłej swej treści redakcja „Muzyki“ musi wciąż postępować z biegiem faktów bieżących i być ich sprawozdawcą, a zarazem światłym krytykiem. W „specjalnych“ numerach, których pierwsze witamy obecnie, redakcja „Muzyki“ podaje siedem artykułów, opracowanych przez najlepszych autorów, a więc: rzecz „O polskim stylu muzycznym“, przez H. Opieńskiego, „Dzieje muzyki polskiej do XVII w.“ przez A. Chybińskiego, ks. dr. H. Feist opracowuje temat o „Polskiej muzyce religijnej“, S. Barbag — o „Polskiej pieśni artystycznej“ i t. d.

Staranne wydanie „Muzyki polskiej“ rokuje tym specjalnym numerom najlepsze powodzenie.

Wydawca: Spółka wydawnicza „Rzeczpospolita“. Redaktor: Eugenjusz Rafalski.

Zakłady Graficzne „Polska Zjednoczona“, Warszawa, Nowolipie 2.

Z redakcyjnego biurka

M Dąbrowskiej. Żałujemy bardzo, iżeśmy zasłużyli sobie na tak surową krytykę. Przypuszczamy jednak, iż, po namyśle, raczy Pani przyznać, że nie koniecznie w każdym utworze stwarzane są typy, co jak wspólny mianownik zastosować się dadzą do każdego miejsca i każdego ugrupowania społecznego. W tece redakcyjnej posiadamy tak wiele rzeczy, które świadczą o tak wysokich walorach społecznych autorki, iż ani na chwilę nie przypuszczamy, by powodowała się jakąkolwiek złośliwą intencją względem szerokiego ogółu. Zbieg okoliczności, poprostu, który z pewnością zechce jej Pani wybaczyć.

Basi. Niech żyje kaligrafja — westchnęli zecerzy na widok Pani rękopisu. Nowelkę odszukamy.

„Babusiowi“. Uregulowane do 1-go stycznia.